KS. JÓZEF WINKOWSKI

PRZEŁOM WEWNĘTRZNY

CYKL EGZORT REKOLEKCYJNYCH

KRAKÓW 1946
KSIĘGARNIA KRAKOWSKA
UL. ŚW. KRZYŻA 13

PRZEŁOM WEWNĘTRZNY

Ł. 9080/45.

POZWALAMY DRUKOWAĆ
Z KSIĄŻĘCO METROPOLITALNEJ KURII.

Kraków dnia 11. XII. 1945.

† *Adam Stefan*
Książę Metropolita.

X. Stefan Mazanek
kanclerz.

DRUKARNIA UDZIAŁOWA W KRAKOWIE. — M-1408011.

KS. JÓZEF WINKOWSKI

PRZEŁOM WEWNĘTRZNY

CYKL EGZORT REKOLEKCYJNYCH

KRAKÓW 1946
KSIĘGARNIA KRAKOWSKA
UL. ŚW. KRZYŻA 13

TREŚĆ:

PRZEDMOWA.

Ogłaszając w roku 1925 pierwsze dwa cykle egzort rekolekcyjnych dla uczniów i uczenic szkół średnich,*) pozwoliłem sobie zaznaczyć w słowie wstępnym, że „zrywając z pewnym rekolekcyjnym szablonem, spróbowałem ująć je w ideową, tematyczną całość, kierując się tutaj, jak wszędzie, przede wszystkim względem na dobro i pożytek dusz młodych".

O ile mi wiadomo z ustnych i listownych wypowiedzi wielu Czcig. XX. Prefektów, nowość ta spotkała się u nich z przychylnym przyjęciem, a nauki rekolekcyjne „o bohaterstwie" i „o szczęściu" oddały im pewne usługi w kaznodziejskim znoju wielkiego postu. Dziś na progu tegorocznej pracy przedwielkanocnej składam w Ich ręce nowy zbiorek tych egzort.

Trzymając się wspomnianej wyżej zasady, i ten cykl nauk pragnąłem ściśle ze sobą powiązać. Dlatego młodym rekolektantom, jako mistrza i przewodnika „przełomu wewnętrznego" postawiłem przed oczy potężną, promienną postać Apostoła narodów. Uczyniłem to jednak dość dyskretnie, większy nacisk kładąc na to, by te egzorty były przepojone Pawłowym duchem, niż by przynosiły bezpośrednio z jego wiekopomnych listów czerpane nauki czy choćby liczniejsze teksty. Wiemy bowiem dobrze, iż kaznodziejstwo św. Pawła bynajmniej do łatwych nie należy. Że właśnie każdy zeń przytaczany wyjątek domaga się natychmiast ścisłej i wnikliwej egzegezy. Inaczej, jakże łatwo przechodzi bez wrażenia,

---

*) *Egzorty do uczniów szkół średnich*, tom III, Kraków 1925, Przedmowa. str XI, Rekolekcje dla uczniów, str. 161—228, Rekolekcje dla uczenic, str. 237—283

przeciwnie nawet, wywołać może, zwłaszcza u młodych, posmak czegoś suchego i nudnego. Tak było za moich gimnazjalnych czasów ze stałym odczytywaniem nam przed egzortą obok ewangelii także i lekcji niedzielnej z listów świętego Apostoła. Samo ich czytanie nużyło nas, szczególnie — prawem kontrastu — w zestawieniu z żywym, plastycznym a łatwym słowem perykop ewangelicznych. Nie rozumieliśmy najczęściej nic a nic i w duszy zadawaliśmy sobie pytanie, w jakim właściwie celu tych zawiłych epistoł musimy wysłuchiwać, jaki z niezrozumiałego słowa możemy odnieść pożytek?

W niniejszych egzortach rekolekcyjnych św. Paweł jest i przemawia, acz nie wprost, nie bezpośrednio... Myślę, że to i lepiej dla słuchaczy...

W różnych odstępach czasu głosiłem te nauki o „przełomie wewnętrznym" w swojej szkole już trzykrotnie. Za każdym razem miałem wrażenie, że były słuchane chętnie, że przynosiły młodym rzetelny pożytek.

Oby Bóg za przyczyną św. Pawła użyczył im tej łaski i wśród szerszych zastępów naszej drogiej młodzieży, której Czcig. Pasterze zechcą z nich korzystać.

Ks. Józef Winkowski.

Zakopane, dnia 29 grudnia 1945.

PRZEŁOM WEWNĘTRZNY.

I.

PAWŁOWYM SZLAKIEM...

Trzeci rok mijał od męki i śmierci boskiego Zbawiciela na jerozolimskiej Golgocie... Ziarno rzucone jego ręką głęboko zapadło w rolę dusz i poczynało wschodzić coraz bujniejszym, coraz obfitszym kłosem. Ewangelia szerzyła się i zastępy jej wyznawców rosły niemal w oczach. Daremnie przerażona synagoga próbowała stłumić i zdusić ten ogień. Daremnie przed sąd swój pociągała raz i drugi apostołów, skarała ich biczowaniem... Daremnie nawet w ofierze swemu zaślepieniu i nienawiści do Chrystusa porwała okrutnie młode życie diakona Szczepana... Daremnie! Wieści przychodziły coraz gorsze, coraz bardziej niepokojące...

Oto uczniowie Nazarejczyka głoszą jego naukę w przeklętej Samarii i ponoś z nadzwyczajnym skutkiem... Oto „dobra nowina", jak ją zowią, przeszła już Galileę i przez skaliste wąwozy niebosiężnego Libanu dotarła do Syrii... Oto — o zgrozo! — podobno nawet w starożytnej stolicy jej, Damaszku, w tej „perle Wschodu", jednym z najpiękniejszych miast świata, zagnieździć się już zdołała przeklęta sekta... Prawowierni wyznawcy Mojżesza w niej przecież dali się otumanić i ulegli jakiemuś niepojętemu czarowi tej nowej nauki...

Nieszczęśni, posiwiali nad księgami Biblii mędrcy Sjonu ciężkie przeżywali chwile... Przylatujące zewsząd wieści spędzały sen z ich powiek, zatruwały posiłek, odbierały spokój, tak niedawno i z takim trudem zdobyty przez skazanie Jezusa...

W takiej chwili stanął przed arcykapłanem, okrutnym i mściwym Jonatą, synem Annasza młody człowiek. W oczach jego małych, czarnych, tail się płomień... Żar palił mu policzki a pięść zaciśnięta kurczowo świadczyła o wewnętrznym wzburzeniu. Starzec go znał, z faryzeuszowskiego, zacnego wywodził się rodu, pochodził zaś z Tarsu w Cylicji i jako na wychodztwie zrodzony i wychowany, tym goręcej lgnął do prastarych Mojżeszowych tradycji. Wykształcony wysoko, niegdyś uczeń powszechnie znanego i szanowanego mędrca, rabina Gamaliela, życieby dał w obronie nieskażonej nauki Starego Zakonu i synagogi. Szaul-Szaweł mu było na imię. Dopieroco dał się poznać wszystkim przez zaciekły udział w męczeństwie Szczepana i zyskał pełne zaufanie uczonych w Piśmie, kapłanów, faryzeuszów... Długo więc trwała żywa, przyciszona rozmowa. Wyszedł z niej młodzian nasz rozpromieniony i rozpalony cały. W ręku ściskał z radością arcykapłańskie pismo do starszych gminy żydowskiej w Damaszku, zalecające im całkowite zaufanie dla Szawła i wszelką pomoc, wszelkie ułatwienia przy ściganiu opornych wyznawców Nazarejczyka, przy śledztwie i dostawieniu ich przed sąd Wysokiej Rady. Kilku zapalonych podobnie, jak on, wrogów nowej nauki miało mu towarzyszyć w wyprawie.

Wsiada więc z nimi Szaweł na koń, zbiera swój oddział zbrojny i rusza na daleką, niebezpieczną wyprawę, kierując się ku północy, poprzez Samarię, Galileę ku syryjskiej granicy. I wiedzie im się podróż... Już opuścili ziemię ojczystą, już się przedarli przez wąwozy i przepaście libańskie i oto, pełni najlepszej myśli, zjeżdżają w dół, zachwyceni czarem ścielącej się u ich stóp żyznej, winogradem, drzewami wszelkich owoców i morzem kwiecia porosłej doliny. W mglistej oddali majaczą przed nimi śnieżno białe mury Damaszku, upragnionego celu podróży i — jak niezłomnie wierzyli — kolebki ich zasług i sławy.

O, jakże silnie biło serce Szawła na widok tego miasta, jak tętniła mu w skroniach młoda krew... Jak pod jej naporem zdała się rosnąć i gorzeć jego święta nienawiść ku bluźniercom Mojżeszowego zakonu, ku buntownikom

i odszczepieńcom od świętej wiary Izraela... On im pokaże! On pomści zniewagę, on krew ich zmiesza z krwią Szczepana! O jakże z serca ich nienawidzi, jak nienawidzi ich Chrystusa!...

I nagle — wali się z konia w proch i kurzawę drogi, tuż niemal u bramy stolicy. Mimo południa, czuje, iż zalewa go i oślepia jasność ponad możność ludzkiego oka... I w uszach słyszy wyraźnie, najwyraźniej głos słodki, przejmujący do głębi, głos, jakiego w życiu nie słyszał jeszcze nigdy: *Szawle, Szawle przecz mię prześladujesz?* (Dz. 9, 4). — *Ktoś jest Panie?* — *Jam jest Jezus, którego ty prześladujesz...* — *A drżąc i zdumiewając się rzekł* (Szaweł): *Panie, co chcesz, abym uczynił?* (Dz. 9, 5—6).

I usłyszał rozkaz i polecenie... Wstał oślepiony, ale inny, już inny zupełnie...

To nie ten, co szat kamieniujących Szczepana pilnował... To nie ten, co z arcykapłanem się umawiał... Nie ten, co chwilę temu jeszcze płonął nienawiścią i żądzą krwi chrześcijańskiej...

Z kurzawy damasceńskiej drogi dźwignął się wielki Nawrócony, przyszły apostoł narodów, Chrystusowy wyznawca i sługa najgorliwszy, męczennik przeofiarny, *naczynie wybrane* (Dz. 9, 15) ewangelii i drogi klejnot Kościoła.

I.

Drodzy i Kochani moi!

Niesłychany, po ludzku zupełnie niepojęty przełom wewnętrzny w duszy Szawła był bezwątpienia zupełnie bezpośrednim dziełem łaski. Był cudem, jakich wiele — acz nigdy tak potężnych, tak zdumiewających — wykazują dziewiętnastowiekowe dzieje Chrystusowej ewangelii. Te dzieje, które proroczo i z boską nieomylnością on sam zapowiadał czasu swego pobytu na tej ziemi...

Podobne jest królestwo niebieskie kwasowi, który wziąwszy niewiasta, zakryła we trzy miary mąki, aż wszystka skwaśniała... (Mat. 13, 33). Przemieniona wewnętrznie, przetwo-

rzona na chleb wyborny, dający życie i zdrowie i wzrost i siłę...

Oto, co się powtarza nieprzerwanie, nieustannie w głębinach tajemnic nadprzyrodzonych działań bożych... Oto, co niepojęte i nieuchwytne zmienia wciąż, przetwarza, przekuwa nieraz najoporniejsze dusze, co z prochu i gliny czyni granity, a zwykłe kruche żelazo na stal przetapia znakomitą, hartowną...

To łaska!

Ma ci ona swoje chwile działania odwiecznie przez Boga upatrzone i wybrane... Prawda, iż niekiedy działa jak piorun, zdumiewająco nagle, niesłychanie, gdy właśnie przemienia Szawła. To znów powoli, wśród zmagań i walk, gdy nawraca Augustyna. I znowu łagodnie i cicho, gdy pociąga za sobą assyskiego Franciszka, gdy przychodzi do łoża ciężko rannego rycerza Ignacego z Lojoli. Gdy puka do duszy rozbawionego, upojonego sławą i rozkoszą życia artysty-muzyka, żyda Cohena, zmieniając go w najsurowszej reguły mnicha, karmelitę bosego...

To wyjątki, to nawrócenia i przemiany zadziwiające, epokowe...

Ale ma Bóg dla ogółu dusz inne sobie właściwe czasy, gdy do nich mówi, gdy nimi wstrząsa, gdy je kruszy i dźwiga i leczy...

To niewątpliwie chwile rekolekcyj!

Spojrzyj, Ukochany mój, na jeden moment, na minutę w głębię twej młodej duszy, spojrzyj aż do dna; spojrzyj tak, jak nie patrzysz nigdy i powiedz mi, czy naprawdę, czy szczerze zadowolony jesteś z tego, co tam widzisz?... Czy takim, jak się widzisz w tej chwili, chcesz zostać na zawsze, na całe życie?... Z tymi błędami i grzechami i nałogami... i z tą, tylko znikomą odrobiną dobra, charakteru, cnoty?

Spojrzyj, spojrzyj jeszcze na chwilkę w dzieje twojego życia... Krótkie ono, prawda — ale jakie? Co w nim bije, tętni, przeważa?... Dobro czy zło? I po jakich ono idzie ścieżynach? Wąwozem głębokim, gdzie słońce nie dotrze, bagnem a błotem nizinnym... Czy górnym szlakiem, po ścieżach sło-

necznych, po niebosiężnych wierchach?... I jak chcesz? którędy chcesz, by szło dalej... przez młodość, przez życie? Szczytami czy niziną, mrocznie czy promieniście?...

O, ja wiem, ja czuję, ja wierzę, że nie ma wśród was nikogo, ktoby nie pragnął zmiany, ktoby nie chciał gorąco, szczerze zerwać ze złem, pokruszyć pęta, złamać kajdany i wolnym synem, dziecięciem bożym się stać i lepszym, lepszym być, jak dotąd, choćby przez mozół i pot i znój...

I oto widzicie, po co są rekolekcje. Dni łaski i zmiłowania, dni światła i mocy, dni przełomu!

A jeśli już za każdy zwykły dzień życia rachunek zdawać trza przed Panem i, chcąc nie chcąc, odpowiedzialność brać na barki, to cóż rzec o dniach rekolekcyj, za które odpowiedzialność rośnie dwakroć, dziesięćkroć i stokroć?...

Więc cóż uczynić wypadnie? Więc jak postąpić?

II.

Patrzcie na Pawła świętego dźwigającego się z pyłu i prochu drogi do Damaszku, drogi ku dawnym grzechom i zbrodniom na nową, zupełnie odmienną drogę życia... Patrzcie na Pawła wchodzącego w drugą epokę żywota i słuchajcie słów, które mu w tej wielkiej godzinie zawisły na wargach... *Panie, co chcesz, abym uczynił?*

Oto i dla was pytanie!

Pozwólcie, Przyjaciele drodzy i serdeczni, że z bożą pomocą na to pytanie Pawłowe i wasze, pytanie zasadnicze, podstawowe, najistotniejsze, wysilę się dać wam w tych rekolekcjach najlepszą, przyjacielską i bratnią odpowiedź... Podać radę i wskazówkę niezawodną na to nowe, po rekolekcyjnym przełomie życie dzieci i synów bożych...

I oto pierwsza uwaga i rada, rzucona każdemu z was.

Odpraw te wielkopostne rekolekcje jak najsumienniej, jak najlepiej! Uczyń je twoją osobistą sprawą, niezmiernie ważną, stokroć ważniejszą od wszystkich, które zostawiłeś tam... za progiem tego kościoła, sprawą obchodzącą cię najbliżej. Zajmij się nimi cały, wkładając w nie całą duszę.

Pracuj twym umysłem, słuchając uważnie egzort i sumiennie przemyślając je w domu, streszczając najważniejsze myśli na piśmie... Pracuj wolą, poddając ją prawdom słyszanym, stosując je do siebie i wyprowadzając nieugięte postanowienia. Pracuj sercem, rozpalając w sobie żywą chęć odmiany, umiłowanie Boga, cnoty i bogobojnego życia. A pracę twą znojną zraszaj modlitwą prostą, a szczerą i dłuższą i głębszą, niż zwykle.

Tak oddając się cały rekolekcjom, wyczerpiesz z nich skarby, których się nawet nie domyślasz. Wierzaj mi, że dopełniają się w nich nieraz tajemnice boże, przedziwne i zdumiewające.

W znanej wam może wielu książce „Ze śmierci do życia“*) o jednej z nich właśnie czytamy nie bez głębokiego wzruszenia. Skazany za udział w zbrodniczym rabunku na długoletnie więzienie młody francuski anarchista, Albert, przeżywa w swej celi zadziwiające chwile wewnętrznej przemiany i dzięki rekolekcjom staje się niemal świętym, w każdym razie pokornym, Bogu oddanym pokutnikiem. A przecież ten dwudziestokilkoletni młodzieniec przez całe lata tak bardzo dalekim był od Boga, od wiary! Jeszcze po wielu miesiącach pobytu w więzieniu nie waha się notować: „Czyżby mnie wychodzącego kiedyś z więzienia, miano zobaczyć wchodzącego do kościoła? Nie! nie obawiajmy się takiej odmiany! Moje przekonania są silne, a warunki, w których żyję od kilkunastu miesięcy, utrwalają je nawet“. W kwietniu 1915 roku odbywają się wielkopostne rekolekcje dla więźniów. Ks. kapelan, do którego Albert bardzo się zbliżył, zachęca go serdecznie do udziału. Młody się opiera zrazu, w końcu decyduje się przychodzić, ale głównie dlatego, by w nudnym i monotonnym życiu więziennym znaleźć jakieś urozmaicenie. Ponadto uważa nauki kapłana i możliwie dokładne ich notowanie za wyborną sposobność do wprawienia się nieco w stenografii.

A przecież! W Wielki Piątek dostaje wiadomość, że przyjaciel jego, również więzień przystępuje do spowiedzi,

*) J. Salsmans T. J.: *Ze śmierci do życia*, Kraków 1924, wyd. XX. Jezuitów.

a w Wielką Sobotę ma przyjąć pierwszą w swym życiu komunię św. Wieść ta uderza, jak grom w Alberta. Próbuje jeszcze opierać się natchnieniom łaski. Wiele dusz świętych modli się za niego. Wreszcie przychodzi moment przełomu. W samą Wielką Niedzielę Albert odbywa swą pierwszą po wielu, wielu latach spowiedź. Radość jego po rozgrzeszeniu nie zna granic. Szczęście zalewa mu duszę. Rzuca się na szyję spowiednikowi i całuje go w oba policzki.

Po jakimś roku z górą ulega ciężkiej chorobie serca. Ostatnie jego słowa w dzienniczku oświadczają: „Niech się dzieje wola boża. Jestem gotów!“ Umiera z całym spokojem, radośnie przyjąwszy święte sakramenta...

Takich Albertów dzieje rekolekcyj znają tysiące... Jakże niezbadany jest Bóg w rozdziale swych łask cudownych...

Pomyśl, jakaby to niepowetowana była szkoda, gdybyś ty miał je utracić, gdyby z twej winy tobie odjęte, dane być miały innemu, który więcej i godniej na nie zasłuży... Zaiste, szkodaby to była nie do odrobienia, gdyby łaska boża, dokonywując cudów w tysiącach dusz, miała przejść koło ciebie daremnie, ominąć duszę twoją i... może już nigdy do niej nie wrócić... O, bo Bóg hojny dla dusz hojnych, skąpym się staje dla skąpych i przy złej ich woli, może łask, które marnują i depczą, łatwo odmówić... Więc przyjdź na spotkanie łaski i jako Paweł św. z głębi duszy, serca powtarzaj: *Panie, co chcesz, abym uczynił?*

Bądź pewien, że twoja dobra wola, którą Bóg nade wszystko ceni, nie zostanie bez obfitej nagrody.

III.

I oto ten dobry Pan chce i nakazuje ci, abyś przejąwszy się ważnością rekolekcyj, skupił dziś całą uwagę swoją z najgłębszym natężeniem na tym głębokim, najistotniejszym dla twej wewnętrznej przemiany pytaniu, pytaniu nad pytaniami: po co żyjesz na ziemi?

Pewnego razu kapłan jeden zbliżył się do człowieka pracującego ciężko przy budowie domu... Pozdrowiwszy go uprzejmie, nawiązał z nim przyjazną rozmowę...

— Nad czymże się pan tak trudzi w tej chwili?
— Gromadzę kamienie, by potem prędzej mur układać.
— I pocóż pan tak ciężko pracuje dzień cały?
— Aby grosz jaki zarobić...
— A na co panu pieniądze?
— Wszak chleb trzeba kupić.
— A chleb na co?
— Aby żyć!
— A na co pan żyje?

Robotnik zamyślił się, ale na to pytanie nie umiał jakoś znaleźć odpowiedzi.

A po co żyjesz ty? Po co?

O, jakież to ważne i ciekawe pytanie!

Widzicie, moi Drodzy, w rozgwarze codziennego życia, pracy, zajęć, zabawy — blednie ono bardzo w waszych oczach... Jedno wrażenie pędzi za drugim, następne znów za nimi, jedno drugie zaciera, wymazuje z świadomości i pamięci... A pytanie o cel życia dla młodych zawsze trąci jakąś nieznośną filozofią, powagą, surowością, którą tak radzi z swej młodości w daleką gdzieś przyszłość usunąć...

Ale dobry Bóg oddala od was w tej rekolekcyjnej chwili wszystko tamto... Daje wam godziny uciszenia i spokoju, nastraja wam młode rozwichrzone dusze na głębokie tony i już sposobniejszymi jakoś czyni ku rozważeniu najgłębszych nawet zagadnień wiary i życia... Ufam, że dziś, że w tej chwili zdolni jesteście przy dobrej woli, w którą nie wątpię, podźwignąć ciężar tego wielkiego pytania...

Po co żyję? Na co ja jestem na tej ziemi?

Oczywiście nie po to przecież, by jeść i spać... Nie po to, by bawić się i używać... ani nawet nie po to, by się uczyć i pracować... Wy czujecie, iż po za tym wszystkim kryje się, tkwi coś wyższego, coś ostatecznego, coś godnego człowieka i jego duszy nieśmiertelnej. Coś, co odnalezione, rozważone, przyjęte raz za najwyższy drogowskaz życia, zdolnym byłoby je naprawdę przemienić, uszlachetnić, wyanielić...

Po co żyję? Jaki plan, jaki cel miał Bóg, gdy postanawiał już przed wiekami stworzyć mnie i osadzić na te lata żywota

mego, krótsze lub dłuższe na ziemi?... Czego chciał, dając mi duszę, z nią rozum i wolę i serce? Do czego mnie przeznaczył? I jaki sens ma moje życie?

Żadna odpowiedź mnie nie zadowolni, prócz tej jednej, jedynej, najmędrszej i najprostszej zarazem, którą znaleźć mogę jedynie w wierze świętej...

Bo to pewne i nieugięte, że cel mój ostateczny nie jest, ani być może z tej ziemi, ani z tego życia. Ja noszę w sobie pierwiastek nieśmiertelności i tam, po drugiej stronie bramy śmierci mój cel, cel wiekuisty. A życia czas — to czas zasługi i próby, czas służby bożej — próby i służby, jak na mnie przystało, swobodnej i wolnej...

Tak mówi mi wiara, tak mówi objawienie Pańskie.

O, patrzże Kochany, jaka powaga bije z tych słów, jaka głębia, jaka doniosłość i godność! Życie, to nie igraszka, to nie drobnostka! Zarówno wzięte całe od kolebki do śmierci, jak po szczególe w każdym roku, każdym dniu, każdej godzinie... Tym więcej, tym więcej, że każda z tych godzin może być ostatnią, więc być rozstrzygającą...

A my z życiem tak igramy, zwłaszcza w młodości. Najdroższe chwile, najważniejsze, nieocenione, rzec można, dla przyszłości przeżywamy jakoby z zawiązanymi oczyma, może nawet jakby w całkowitej ślepocie. Rozwagę, namysł? — zostawiamy do lat dojrzałych, jakbyśmy byli pewni, że ich dożyjemy lub jakby dni młodości były bezwartościowe. A przecież mylimy się okrutnie, straszliwie, sami sobie wykopując przepaść upadku i może nieskończonego nieszczęścia.

O, życie, życie! — jakaż powaga, jaka groza tkwi w tobie i jaka niepojęta odpowiedzialność... Odpowiedzialność za każdy zmarnowany dzień, za każdą chwilę. Dzień i chwilę, które nie wracają...

Daremne skargi, próżny trud,
bezsilne złorzeczenia,
minionych czasów żaden cud
nie wróci do istnienia... *)

---

*) Asnyk.

słusznie i głęboko woła poeta, a tych chwil, Drodzy moi, tych dni, tych lat może było już w życiu tak wiele... tak wiele...

Czy ma ich być jeszcze więcej? Cóż ja właściwie myślę? Ku czemu idę? Gdzie zajdę tą drogą? Co na to wszystko powie mi kiedyś, w chwili sądu wszystko widzący i wszystko pamiętający Bóg?

O zadrżyj, Przyjacielu młody, nad tym pytaniem, choćbyś w tej chwili mógł nawet stwierdzić, że starałeś się żyć nienajgorzej, bo czymże to wobec majestatu Boga i czasu wydzielonego ci przezeń na zasługę... A cóż dopiero ty, któryś dotąd życie, nieocenione lata młodości marnował na grzechy, upadki, boży gniew i bożą obrazę!... Na pytanie, po co ja żyję, dziś z głębin własnej duszy słyszeć musisz przerażającą odpowiedź: na swoją zgubę, na swoje nieszczęście, straszne nieszczęście bez końca i miary...

Więc czas przystanąć — prawda? Czas oglądnąć się wstecz, zawrócić... W rekolekcyjnym przełomie — prawej drogi poszukać.

Im wcześniej to zrobisz, tym szczęśliwiej dla ciebie, im dokładniej się zastanowisz, tym lepiej.

A cóż ci przeszkadza, byś dziś, zaraz tutaj czynić rozpoczął? Patrz! Oto Bóg wychodzi na twoje spotkanie... W obu dłoniach ojcowskich niesie ci łaskę, niesie pomoc serdeczną i cichym, dobrym szeptem powtarza słowa niegdyś natchnione wielkiemu Pawłowi: *Oto teraz czas przyjemny, oto teraz dzień zbawienia...* (2 Kor. 6, 2).

I ty miałbyś odwrócić się... wzgardzić... i dalej iść swą drogą?... Miałbyś odwagę... miałbyś sumienie?

Nie! Po stokroć nie!

* * *

Pójdź więc! Zbadamy ścieżkę życia twego aż po dzisiejszy dzień... Pójdź, Ukochany, zastanowimy się wspólnie nad drogą powrotu, nakreślimy plany przyszłości, poszukamy drogowskazów... Pójdź za mną, razem pójdziemy do Ojca, pójdziemy

w słodki, ojcowski dom... Nie wyrywaj się, nie uciekaj, nie daj się zmylić ni obłąkać... Rzecz idzie o życie... o twoją przyszłość... Idzie o twą duszę i wieczność!

Wszak idziesz już — prawda? Gotowy, radosny... ochoczy... Bóg z tobą... Jego łaska i błogosławieństwo... Amen.

II.

SŁUŻBA BOŻA.

W słynnej „Rodzinie Połanieckich“ — powieści współczesnej, znanej wielu z was starszych, kreśli autor, Henryk Sienkiewicz, już przy końcu prześliczny obrazek... W pogodny poranek niedzielny młoda pani Połaniecka, dziedziczka odzyskanego Krzemienia każe zaprzęgać konie i z całą serdeczną miłością przypomina mężowi, że to niedziela, trzeba jechać do kościoła... — Stachu, służba boża!... A on, przywiązany do ukochanej małżonki w tej chwili zbiera się do wyjazdu i, patrząc na nią później w kościele rozmodloną całą i tak dziwnie jasną, promienną, rozmyśla nad potęgą tej służby bożej, która ot „takim kwiatom pozwala krzewić się na tej biednej ziemi...“

I.

Służba boża!

Moi Drodzy, jakie to wielkie, jakie to święte słowo! Czymże my z natury jesteśmy, jeśli nie sługami bożymi i jaki to dla nas ludzi zaszczyt, iż być nimi możemy, iż jedni jedyni z ziemskich stworzeń służbę naszą świadomą, dobrowolną, chętną ofiarować możemy tak wielkiemu, tak wspaniałemu Panu, jak nasz Bóg, Stwórca i Pan najwyższy całego świata...

Zaszczyt i chluba.. Czy naprawdę?

Stara, czcigodna *Legenda Aurea* — złota legenda o świętych Pańskich, przechowała nam między innymi prześliczne opowiadanie o św. Krzysztofie — po grecku: Christophoros, czyli niosący Chrystusa.

Poganinem był i nosił podobno imię Reprobus. Za młodu już obdarzony olbrzymią siłą fizyczną i ogromnym wzrostem, siłę swą pragnął okazywać na zewnątrz, a usługi swoje ofiarować tylko tym, którzy by okazali się silniejszymi od niego. Szukał przeto na świecie najpotężniejszego władcy, jako pana swego i króla... Idzie go tedy szukać i znajduje i bardzo przypada owemu mocarzowi do serca. Król przyjmuje Krzysztofa na swój dwór i obdarza wieloma łaskami...

Aliści pewnego dnia przybywa na tenże dwór jakiś wędrowny błazen, który gwoli rozweselenia króla przeróżne opowiada historie i przedziwne wyśpiewuje pieśni. Władca słucha z całym dworem z wielkim zajęciem... Słucha go też i nasz potężny olbrzym. Ale oto w piosence wspomina śpiewak imię diabła, król zaś na dźwięk tego słowa natychmiast z lękiem kładzie na sobie znak krzyża. Zauważył to Krzysztof i spytał króla o powód... Ten daremnie poczyna się wymawiać i wymijające daje odpowiedzi... Olbrzym nastaje coraz więcej, aż monarcha wyznaje mu, że znak święty uczynił, aby mu moc diabelska nie szkodziła. — Jakto? — ze zdumieniem woła nasz bohater, — to ty boisz się diabła? A ja sądziłem, że najpotężniejszemu służę! Porzucam cię i odchodzę.

I poszedł szukać diabła, by mu jako najpotężniejszemu ofiarować swoje usługi, swoją siłę... I spotkał go na pustych bezdrożach. Potwornie brzydkiego spotkał ducha ciemności i przystał doń chętnie na służbę. Przyjęty, puścił się z nim w dalszą wędrówkę po świecie. Wtem kiedyś, idąc razem, natknęli się na krzyż przydrożny... Diabeł cofnął się wstecz niespokojny i obszedł z daleka znak zbawienia.

— A to co znowu? — spytał Reprobus. — Czemu unikasz krzyża? — Szatan milczy uparcie. — A może... może ty się go boisz? — Przyciśnięty do muru zły duch, wyznaje, iż boi się krzyża od czasu, jak na nim zawisł Chrystus...

— Tak? — rzecze olbrzym — toś ty nie najpotężniejszy! Żegnaj. Idę szukać Jezusa Chrystusa. Muszę go znaleźć i jemu będę służył. — I poszedł.

Spotkany gdzieś pustelnik powiedział mu, że najłatwiej znajdzie Chrystusa, pełniąc dobre uczynki, służąc mu w lu-

dziach ubogich, potrzebujących. Wśród nich może kiedyś spotkać samego Jezusa. Jął się więc siłacz z ochotą ciężkiej pracy przenoszenia na barkach własnych ludzi przez gwałtowną rzekę, w nadziei, że wśród wędrowców przecież kiedyś napotka Jezusa. I oto raz wypadło mu przenieść przez nurty spienione dziecię przedziwnej piękności, które mu, ku niebywałemu zdumieniu zaciężyło, jak nikt dotychczas... Poznał w tym cudzie Zbawiciela, przed którym drży piekło i szatani i jemu zapragnął służyć już na zawsze. Przyjął chrzest. Zawsze śmiało i odważnie wyznawał swą wiarę. Za prześladowania cesarza Decjusza ujęty, po wyszukanych męczarniach poszedł do nieba po stokrotną nagrodę swej służby.

Pójdźmy za świętym Krzysztofem!

Szukajmy najpotężniejszego Króla i ofiarujmy mu nasze służby. Złóżmy mu nasze hołdy, nasze siły, nasze serce i duszę, umysł i wolę, ciało i zdrowie... Wszystko! Bo do tej służby on sam nas woła.. Nie ludziom, by najpotężniejszym, nie szatanowi, nie grzechowi służyć nam trzeba, lecz Jezusowi Chrystusowi, bo on Bogiem i Panem naszym, bo on najpotężniejszy!

Zrozumienie tej wielkiej prawdy naszej wiary, postanowienie pójścia na tę służbę — to ów wielki przełom duchowy w naszych rekolekcjach, któregośmy koniecznie i bezwarunkowo dokonać powinni. I nie wątpię, że za wielkim przewodnikiem naszym, św. Pawłem, dokonać go szczerze pragniemy.

A służba to naprawdę zaszczytna, chlubna, radosna!

Wiecie, jak to w dawnej Rzeczypospolitej naszej, bracia szlachta chlubili się barwami wielkich magnatów, królewiąt polskich, na których dworach, przy których boku pozostawali życie nieraz całe na służbie... Jak się wynosili z szlachetności rodu swego wojewody czy kasztelana, jak zwoływali się jego zawołaniem, jak zastawiali się za jego honor i cześć, aż do przelewu krwi... A czymże ludzkie służby wszystkie wobec służby na dworze niebieskim, na dworze Pana nad pany... Jakiż on wielki! Jaki wspaniały! Jak wielkodusznie odnosi się do tych, co się na jego zaciągnęli służbę, jak hojnie płaci im za każdą usługę!

Zaiste służba boża to najwyższe szlachectwo nasze, to najcenniejszy klejnot naszego człowieczeństwa, to nie służba już, lecz królowanie raczej, jak przepięknie powiada jedna z modlitw liturgicznych, wołająca do Pana: *Boże, któremu służyć to znaczy królować...*)*

Lecz czas nam już zapytać, na czym ta służba polega, co jej istotę stanowi?

II.

Cóżby innego, jeśli nie cześć najgłębsza oddawana Bogu zawsze i wszędzie... Cóżby innego, jeśli nie wierne, najwierniejsze pełnienie jego woli, jego przykazań!

Lecz, by czcić Boga, wprzód koniecznie poznać go w miarę sił i zdolności naszych musimy. Uczy nas o tym najwyraźniej sam P. Jezus w swojej przecudnej modlitwie arcykapłańskiej w przeddzień śmierci, mówiąc: *A ten jest żywot wieczny, aby poznali ciebie samego, Boga prawdziwego i którego posłałeś Jezusa Chrystusa* (Jan 17, 3).

Poznać Boga... poznać Jezusa! Ależ to pierwszy i naczelny cel całej naszej nauki świętej religii katolickiej w kościele i w szkole. To też będzie i pozostanie zawsze pierwszym obowiązkiem waszej służby bożej w młodości.

I jakże ten obowiązek spełniacie?

Gdy św. Paweł po swym cudownym nawróceniu miał oddać się całkowicie usługiwaniu ewangelii, na trzy lata usunął się na bezludną pustynię i tam zagłębiając się w Pismo św. w długie rozważanie prawd wiary, gotował się do swej wielkiej służby, którą potem zadziwić miał cały świat. Tam rzucał podwaliny pod swą nieporównanie głęboką wiedzę teologiczną, którą później miał uwiecznić w swych kazaniach, naukach i bezcennych listach apostolskich.

Podobnie i od nas żąda Bóg zasadniczego przygotowania się do swej służby przez możliwie głębokie, jasne, trwałe przyswojenie sobie prawd wiary świętej, zasad chrześcijańskiej

*) *Missa pro pace* — postcommunio.

moralności w nauce religii. Abyśmy też *poznali jego samego, Boga prawdziwego i którego posłał Jezusa Chrystusa...*

A jakże to bywa w naszym życiu młodzieńczym z tym poznaniem, z tą nauką, z tą służbą bożą najpierwszą?

Przyzwyczailiśmy się do tego od lat najmłodszych, że w katalogu, że na świadectwie szkolnym religia zajmuje pierwsze miejsce, ale czy wy, młodzi katolicy z ręką na sercu możecie oświadczyć przed Bogiem, że zajmuje ona pierwsze miejsce w waszym studium, w waszej uwadze na lekcji, w przygotowaniu i powtórzeniu przerobionego materiału? Czy zagadnienia religijne, nad które nie ma ważniejszych i głębszych na świecie, budzą w was szczere zainteresowanie? Czy wkładają wam do ręki czasopisma religijne, czy pociągają do religijnej literatury, dziś już dzięki Bogu tak bogatej, tak wspaniałej?

Czy może niestety, o niejednym spośród was młodym katoliku nie należałoby z bólem powtórzyć słów św. Pawła rzuconym przezeń mędrcom greckim w ateńskim Areopagu: *Chodząc* (po mieście) *i patrząc na bałwany wasze, znalazłem też ołtarz, na którym było napisane: Nieznajomemu Bogu...* (Dz. 17, 23). Czy w XX wieku ery chrześcijańskiej dla niejednego katolika jeszcze Bóg jego nie pozostaje nadal jakimś wielkim Nieznanym, o którym wie on znacznie, znacznie mniej, niż o niejednym dawnym czy współczesnym człowieku!

Jakże więc — pytam z naciskiem — jest z nauką religii w gimnazjum, w liceum? Jak z rzetelnym zdobyciem znajomości podstawowych prawd wiary i obyczajów, obrzędów Kościoła czy jego zdumiewających dziejów na ziemi?

Oto służba boża, a przecież przez wielu tak zaniedbana, tak niepoczciwie zbywana i lekceważona w latach szkolnych.

Jakże więc mówić o obowiązku jawnego, odważnego wyznawania swej wiary, jak o obowiązku jej obrony, zastawienia się za nią, gdy jej prawdy dla wielu kryją się w mroku, jak wierchy tatrzańskie w zwałach mgieł i chmur czasu wiosennej słoty! A przecież to prosty obowiązek dobrego i wiernego sługi, by stawał w obronie swego pana, by chronił jego cześć,

by umiał odeprzeć niesłuszne, niesprawiedliwe zarzuty, nieraz bezecne kłamstwa i oszczerstwa...

Jest zaiste z czego uczynić dziś surowy i ścisły rekolekcyjny rachunek sumienia w naszym stosunku do Boga! Jest z czego wysnuć młodzieńcze postanowienia odmiany i poprawy w przyszłości.

III.

Z poznania Boga i jego prawd świętych z niezaprzeczoną koniecznością wypływa obowiązek czci dla jego nieskończonego majestatu.. Wypływa obowiązek hołdu modlitwy i święcenia dni świętych.

Modlitwa!

Ach jakże dziwne stanowisko wobec tak prostego obowiązku każdego chrześcijanina zajmuje wielu młodych katolików... Iluż to wydaje się rzeczą co najmniej obojętną, czy codziennie odmówią swój zwykły pacierz... Iluż to sądzi, że każdemu zostawiony on właściwie do woli... A i ci, którzy go dotąd wiernie i stale odmawiają, ile mają sobie przed Bogiem i w sumieniu do wyrzucenia, gdy pomyślą o istotnej, nadprzyrodzonej wartości tej modlitwy.

Nie! Modlitwa nie jest ani obojętną sprawą, ani pozostawioną nam do osobistego uznania, do woli. Modlitwa jest ścisłym obowiązkiem naszym wobec Boga, jest jednym z najpierwszych objawów służby, jest codziennym żołnierskim raportem przed naszym najwyższym Panem i Wodzem, pod którego sztandary zaciągnęliśmy się we chrzcie świętym i przed którym kiedyś staniemy z pełną odpowiedzialnością za naszą służbę.

Lecz czymże jest modlitwa?

Katechizm odpowiada — „wzniesieniem duszy do Boga". Całej duszy, z wszystkimi jej władzami, choćby na tę jedną krótką chwilę poranną czy wieczorną... Jest serdeczną rozmową z Bogiem, którego pragniemy uczcić, któremu chcemy dziękować, przeprosić go czy błagać o łaskę.

Czy pomyśleliście kiedy poważniej nad tym, jakim to prawdziwym urokiem promieniować mogą wszelkie prace

i zajęcia młodych, jeśli tylko zechcą i potrafią włożyć w nie swój zapał, swoje uczucie, swoje oddanie... Cóż dopiero modlitwa! Przedziwny może mieć w sobie urok lub też... darujcie słowo... stać się obrzydłą karykaturą.

Urok? Wszak każdy z was przyzna, że młody chłopak pogrążony w gorącej modlitwie, ma w sobie coś prześlicznego, niemal nadziemskiego... Obraz to zaiste godny pędzla wielkiego artysty... To świeżo rozkwitły kielich kwiatu, który się otworzył i zwrócił ku słońcu, a słońce pieści go i ubiera w blaski; promieniami swoimi drżące na płatkach krople rosy zmienia w brylanty, a ciepłem przymnaża miodu w kielichu i wzrost daje przyszłym nasionkom...

Ach, czemuż obraz tak rzadki jeszcze niestety w naszym świecie młodzieńczym...

Karykatura? Gdy odwrócony myślą, sercem, całą istotą twoją od Boga, nudzisz się na modlitwie, kręcisz i ziewasz, ustami szybko, bez zrozumienia żadnego klepiesz z dawien dawna przyswojone formułki... Gdy wstajesz z klęczek zimny, obojętny i nieczuły, jak byłeś... Gdy Bóg ci nadal został dalekim i odległym i obcym... O, wtedy sługą jesteś leniwym, nieuczciwym, złym, a modlitwa twoja, jak gryzący dym z wilgotnych drew i spróchniałych włóczy się po ziemi, niezdolna ulecieć w niebo...

Cóżby mogło skutecznie zmienić i usunąć te wądy i braki studenckich modlitw naszych? Jedynie zasadnicza zmiana pojęć o modlitwie, jedynie całkowicie odmienne, nowe do niej nastawienie, zrozumienie jej istoty i jej potrzeby. Niełatwa to sprawa, gdy nawet w starszym społeczeństwie tyle w tej dziedzinie panuje błędnych zapatrywań i poglądów.

Jeden z młodych, współczesnych autorów w interesującej powieści z życia młodzieży uniwersyteckiej w Warszawie kreśli taki charakterystyczny obrazek. Późnym wieczorem klęka akademik w swym pokoju do wieczornego pacierza. Przez uchylone drzwi zagląda matka i widząc syna dorosłego na kolanach, nie może ukryć zdziwienia. „Taki duży chłopiec i jeszcze mówi pacierz“ — szepcze to siebie. Doskonale to podpatrzony i ujęty typ wielu osób, nawet rodziców i ich doprawdy dzi-

wacznych nieraz pojęć o roli i potrzebie modlitwy w życiu ludzkim.

Czy przypadkiem nie zawstydzają nas tutaj prości, prymitywni chrześcijanie w niejednej murzyńskiej wiosce w Afryce, którzy bez modlitwy nie rozumieją religijnego życia?

Gdzieś tam w odległej osadzie Buszmanów pojawił się kiedyś wędrowny kapłan misjonarz, utwierdził ich w wierze, udzielił sakramentów świętych, lecz niestety wnet ruszyć musiał w dalszą, apostolską wędrówkę. Na pożegnanie zachęcił swych drogich wiernych gorąco do stałej, szczerej modlitwy. Słowa jego padły na rolę dobrą. Grono mężczyzn postanowiło iść za jego radą. Wybrali sobie w lesie obok wioski ustronne miejsce i tam codziennie postanowili schodzić się na modlitwę. Dla wygody wycięli w gąszczu ścieżyny wprost ze swych wigwamów do owego ustronia. W gorącym, równikowym klimacie raz po raz ścieżki zarastały im nową gęstwiną, więc przecinali je często toporem. Zdarzyło się wówczas, że jeden z wiernych zaniedbywać się począł w przybywaniu na modlitewne zebrania. Wtedy najstarszy z owych mężów, zwrócił się doń z prostym, krótkim upomnieniem: „Bracie, twoja ścieżka już trawą porasta!“

A Twoja ścieżka, Ukochany mój, czy również nie poczęła już zarastać? Czy i ty od niejakiego czasu nie uległeś lenistwu, obojętności w twych rannych i wieczornych pacierzach?

Wierzę i ufam, że od dziś będzie inaczej! Ty przecież dobrze rozumiesz nieodzowną potrzebę modlitwy zawsze, cóż dopiero w duchowym przełomie, którego dokonać pragniesz w tych rekolekcjach naszych. Tu się już na pewne nie zdołasz obyć bez modlitwy. Z twym Panem rozmawiać będziesz, jak syn z Ojcem najlepszym. Składać mu będziesz daninę czci serdecznej, oddawać mu swe myśli, uczucia, pragnienia, akty woli młodzieńczej na każdy dzień, każdego ranka i wieczora. Zżyjesz się z modlitwą tak, że jej brak odczuwać będziesz boleśnie. Że za jakąś dotkliwą karę uważałbyć pozbawienie cię możliwości odmówienia pacierza; że wolałbyś niejedną odrzucić przyjemność, niż stracić cichą chwilę twej z Bogiem i Ojcem rozmowy...

Wspomnij znów mistrza naszego, św. Pawła. Dzieje Apostolskie kreśląc historię strasznego męczeństwa św. Szczepana, który pierwszy młode swe życie położył za wiarę Chrystusową, przekazują nam wspaniałą modlitwę tego bohaterskiego młodzieńca za swych prześladowców, wśród których niewątpliwie najkrwawszym i najzacieklejszym był Szaweł. Modlitwa Szczepana wyprosiła u Boga wielki cud jego nawrócenia. I znowu on sam, gdy rażony piorunem łaski u bram Damaszku dźwignął się z kurzawy gościńca i ociemniały znalazł gościnę w domu niejakiego Judy z Tarsu, *był tam trzy dni nie widząc i nie jadł ani pił* (Dz. 9, 9, 11), lecz całkowicie pogrążył się w modlitwie. Kto wie, coby się stało z łaską, gdyby jej on sam nie złączył z żarliwością swych modłów...

Przeto i ty, stanowiąc odmianę życia, ślubując przełom wewnętrzny, zwróć się szczerze i gorąco do modlitwy. Chcesz być pełnym chrześcijaninem, pełnym człowiekiem, a oto człowiek, który się nie modli, nosi jakiś brak, jakąś pustkę w swej duszy, choćby jej świadomie nie odczuwał. W dźwięcznym instrumencie jego duszy zerwała się jedna struna, ta właśnie najdźwięczniejsza, która rozbrzmiewać w niej winna nieustanną melodią modlitwy... Wszak nie chcesz, aby taką była twoja dusza — mój Drogi?!

I bądź na modlitwie szczery, prosty... Nie sil się na sztuczne, wzniosłe słowa, mów z Ojcem twym, *który jest w niebiesiech* i który najchętniej słucha prostego, dziecięcego szczebiotu twej duszy. Mów mu o wszystkim, co cię cieszy i smuci, co cię zajmuje, uciska i boli... Mów mu o sobie i o twych najbliższych. Składaj mu najlepsze cząstki twej duszy, twego życia w hołdzie służby uczciwej, wiernej, przywiązanej.

Postanów, że nie będzie odtąd ani dnia w twym życiu bez krótkiej choćby modlitwy, a tedy najskuteczniej, jak Paweł, wolę twą zjednoczysz z łaską i dokonasz w duszy naprawdę wielkich i trwałych rzeczy.

IV.

Szczególnym objawem tej służby, tego hołdu jest bezwątpienia święcenie niedzieli i świąt uroczystych. Trzecie

przykazanie boże z jakimś szczególnym naciskiem podkreśla ten obowiązek przez słowo *Pamiętaj!*

„Jakżeśmy to jednak, zwłaszcza w ostatnich czasach, daleko odbiegli od myśli bożej wyrażonej w tym świętym prawie. Przypatrzmy się tylko uważnie niedzieli w naszym mieście. Pewno, i dzięki Bogu za to, wypełniają się wiernymi kościoły i to kilkakrotnie od wczesnego ranka do południa. Iluż jednak katolików nie pomyśli nawet o skierowaniu swych kroków w stronę świątyni Pańskiej! Dla nich niedziela, dzień święty i własność boża, stała się niemal dniem wyłącznie poświęconym człowiekowi. Jakiś duch nawskróś pogański targnął się na świętość niedzieli, wkradł się w życie rodzin katolickich i młodzieży, skarykaturował dzień chwały Pańskiej i zmienił go w dzień użycia, sportu, zabawy nieraz grzesznej, jeśli nie wyuzdanej i niezłączonej z deptaniem przykazań boskich i kościelnych. A razem z tym odarciem niedzieli z jej przyrodzonego, że tak powiem charakteru, życie tysięcy ludzi, zwłaszcza w wielkich miastach, odarte zostało z najidealniejszych pierwiastków, wyjałowione z głębszych myśli, gorętszych uczuć, podniebnych wzlotów. Ale także wyjałowione z łaski i błogosławieństwa bożego, które zgotowane synom, czeka na nich w pomroce świątyń, w cieniu ołtarza, w tajemnicy eucharystycznej ofiary...

I wracają biedne, ludzkie istoty po takiej niedzieli do swej szarej, codziennej pracy, do swych warsztatów i fabryk i biur; wracają z niechęcią, z goryczą może, nawet z przekleństwem, z duszą jakąś zawiędłą, skurczoną, choć podniecona i podrażnioną, bynajmniej przecież nie wypoczętą, nie uspokojoną, nie zjednoczoną z Bogiem, Panem swym i Ojcem najlepszym. I przez ten brak chrześcijańskiej niedzieli życie całe z latami staje się takie szare, puste, wyzute z idealizmu, jak gdyby jeden długi, bez końca dzień powszedni, w którym ni dla duszy ni dla Boga nie ma świętego miejsca.

Uczestnictwo świadome i osobiste w ofierze Chrystusowej przeciwnie — opromienia i niedzielę i życie całe blaskami z wysokości, nastraja duszę na jakieś górne tony, budzi w niej wspomnienie celu i przeznaczenia ludzkiego, umacnia łaską

ku wytrwaniu w służbie Bogu i ludziom. Jednym słowem życie człowieka w wysokim stopniu czyni życiem chrześcijanina. Bo wtedy budzi się w nim i chęć wysłuchania słowa bożego, i spełnienia jakiegoś dobrego czynu i przeczytania dobrej religijnej książki... Doprawdy nikt nigdy zliczyć nie zdoła, ile dobrych podniet, zacnych zamiarów, szlachetnych postanowień wynoszą z sobą te świąteczne tłumy z domu bożego, z uczestnictwa we mszy św. z chwili szczerej prawdziwej modlitwy.

Nie, nie pozwólmy nikomu i nigdy ubożyć naszego życia osobistego, rodzinnego i społecznego łamaniem praw świętej niedzieli, obojętnym zapominaniem o Bogu i bożym charakterze tego najpierwszego i najdostojniejszego z pośród dni tygodnia.

* * *

I na zakończenie tej wiązanki myśli dzisiejszych o naszej służbie bożej wspomnijmy serdecznie i mocno, że wszystko w niej płynąć powinno z miłości.

Bo taki przecież jest logiczny porządek rzeczy. Przez wiarę, przez religię naszą mamy Boga poznać. Poznawszy jego wielkość, mądrość, wszechmoc, świętość i dobroć, cześć mu oddawać... Czcić go przede wszystkim przez pełnienie jego woli, a posłuszeństwo nasze skore, dziecięce, szczere wysnuwać jak złotą nić z miłości.

Zakon Jezusowy, duch ewangelii opiera się na miłości Boga, który jak cudnie i głęboko objawia nam Jan św. *jest miłością!* (1 Jan 4, 8). Służba z miłości i w miłości — oto ideał, do którego pchnąć nas winny te rekolekcje... Miłość za miłość — oto hasło naczelne tego przełomu wewnętrznego. Miłość, na której cześć najcudowniejszy w świecie hymn wyśpiewała przed wiekami wielka dusza Pawłowa w przesławnym liście do Koryntian...

Gdybym mówił językami ludzkimi i anielskimi... Chociażbym miał proroctwa i wiedziałbym wszystkie tajemnice i wszelką naukę... I choćbym wszystkie majętności moje rozdał na żywność ubogich i wydał ciało moje tak, iżbym gorzał, a miłościbym nie miał, nic mi nie pomoże... (1 Kor. 13, 1—3).

O, niechże ta miłość ogromna, serdeczna, miłość czystych, zacnych serc młodzieńczych wiedzie i was śladami wielkiego Nawróconego do stóp tego, który z miłości ku wam zstąpił na tę biedną ziemię, cierpiał wszelką niedolę ludzką, schylał się do każdej boleści i nędzy, by dzieło swej miłości nieskończonej ukoronować ofiarą życia, krwi... ofiarą nieskończonej miłości.

Kochajcie go i wy! Kochajcie, jak was tylko stać najmocniej, a wtedy żadna ofiara, żadna służba nie będzie wam ciężką, lecz stanie się źródłem jasności, pokoju i słodyczy w życiu waszym. Amen.

III.

KU WOLNOŚCI SYNÓW BOŻYCH...

Gdy wczytujemy się w dzieje żywota św. Pawła, a szczególnie gdy wgłębiamy się w jego nieporównane listy, nie możemy oprzeć się wrażeniu potężnego i zdumiewającego rozwoju tej wielkiej, bodaj jedynej w historii Kościoła duszy, od chwili, gdy znalazła się w obrębie jego atmosfery, jego ducha, jego wpływów. Możnaby powiedzieć, że Szaweł stworzony i przeznaczony od Boga do najszerszych widnokręgów, do nieograniczonych zasięgów działania, wbrew swojej świadomości dusić się wprost musiał w ciasnocie, małostkowości, mieliźnie Starego Zakonu, w tej postaci, w jakiej pojmował go i ujmował współczesny mu świat żydowski, a już przede wszystkim sucha, zimna, fanatyczna zagubiona w niekończących się drobiazgach sekta faryzeuszów. Zrodzony i wychowany w jej tradycjach, od dziecka zrośnięty z jej sposobem patrzenia na świat, pojmowania całej spaczonej do niemożliwości idei mesjańskiej, Szaweł nawet pojęcia nie miał, ani przeczuwał, co go czekać i spotkać może po tamtej stronie, stronie Chrystusowej, którą na razie ze wszystkich sił prześladował, zwalczał, której całą swą płomienną duszą nienawidził...

Cud w Damaszku rzucił go o ziemię i w jednej chwili na drobne skorupy pokruszył wszystko, czemu dotąd służył, co uwielbiał, czemu się bezgranicznie poświęcał...

Doprawdy słowa brakuje, by określić dziejową potęgę tego momentu i tego obrazu... Drżący z przerażenia, oślepły, starty na proch *Faryzeusz syn Faryzeuszów* (Dz. 23, 6) — jak sam o sobie mówi... ten — znów jego to słowa — *większy* (od innych) *miłośnik ustaw ojczystych* (Gal. 1, 14) — oczywiście

w ujęciu faryzejskim — wije się jak robak w wapiennym pyle gościńca, by poprzez to unicestwienie wszystkiego, co było dlań ideałem do dziś, poprzez fizyczną ślepotę porażonych blaskiem Chrystust oczu ziemskich, dotrzeć w wielką krainę wolności, światłości, królowania synów bożych, krainę onej wolności, którą kiedyś wysławiać będzie w swych listach, wołając w uniesieniu do Rzymian: *Stworzenie będzie wyswobodzone z niewolnictwa skażenia na wolność chwały synów bożych* (8, 21), czy do Galatów: o onej *wolności, którą nas Chrystus wolnymi uczynił* (4, 31).

Wolność!

Cóż za słowo, cóż za ideał! Jaki blask, światłość i moc w tym jednym słowie! Dzieje świata i ludzkości świadczą o tym ponad wszelką wątpliwość. I wy, zwłaszcza wy młodzi, skorsi od innych z wieku i natury jesteście do wyrywania się ku upragnionej, złotej wolności, ku swobodzie, niezależności od kogokolwiek. Czy jednak zastanowiliście się kiedy nad tym, że wspaniałe pojęcie, że idea wolności, jak mało która, podlega w ludzkich przekonaniach, poglądach, a przede wszystkim czynach, potwornemu nieraz zniekształceniu, zepsuciu, wywróceniu?... Czy zdaliście sobie sprawę, że ta upragniona wolność i swoboda w wielu, wielu wypadkach stać się może nieszczęściem i prowadzić do życiowych katastrof??

Chciejcież więc na chwilę rozważyć, że myśląc o wolności macie najczęściej, jeśli nie zawsze, w pamięci wolność czysto zewnętrzną. Wolność od przymusu, nacisku, ograniczenia, nawet prawa. Ta wolność przyjęta bez żadnych ograniczeń, niesłychanie łatwo przeradza się w samowolę, anarchię, i zarówno jednostki jak społeczeństwa szybko może doprowadzić do zguby... Wszyscy dobrze aż nadto wiemy, do czego doprowadziła niegdyś naszą Ojczyznę.

Lecz nie o tej wolności chcę mówić. Pragnąłbym dziś możliwie jasno i możliwie silnie nakreślić wam obraz, pojęcie wolności wewnętrznej człowieka, tej wolności, która staje się główną podstawą jego charakteru, jego pełnej wartości moralnej. Tej wolności, która powinna w tegorocznych rekolekcjach urosnąć w duszach waszych do rozmiarów ideału, którym żyć

macie po dokonaniu wewnętrznego przełomu, o jakim w tym roku mówimy.

Cóż to jest ta wewnętrzna wolność i na czym polega? Nie taję, że dla was młodych pojęcie to dość trudne i głębokie, lecz kiedyż może nadarzyć się lepsza niż dziś sposobność, by zwrócić na nie waszą uwagę?

Być wolnym wewnętrznie, wolnym w swojej najgłębszej duchowej istocie, to przez zdobytą i wyrobioną jedność i harmonię władz duszy dojść do wewnętrznego ze sobą samym spokoju, równowagi, pogody i ciszy.

Jasno ustalone, a nade wszystko bezwzględnie prawdziwe zasady w poglądzie na świat, życie i przeznaczenie człowieka... Silna, wyrobiona, zdyscyplinowana i całkowicie tym zasadom posłuszna wola — oto wspaniały fundament, na którym przez całe życie wznosimy i rozbudowujemy naszą wolność.

Trudne to? — prawda! Oh, jeszcze i jak! Tak trudne, że stosunkowo niewielu ludzi, skądinąd nawet dobrych i szlachetnych, potrafi tę wyżynę osiągnąć, a jednak, któż z was nawet zaprzeczy, że bez niej nie ma prawdziwej wielkości moralnej, nie ma pełnego ludzkiego, cóż dopiero chrześcijańskiego charakteru.

Życie nasze, zwłaszcza życie społeczne, stwierdza to ponad wszelką wątpliwość. Lecz nie zapuszczając się w tajniki tego wielkiego zagadnienia, uprośćmy je sobie nieco i zobaczmy krótko, jakie to czynniki stają najczęściej w drodze młodemu, stają więc w drodze każdemu z was, odwodząc go, zniechęcając, zrażając do pracy i walki o zdobycie tak wielkiego ideału.

Będą to niewątpliwie bardzo niebezpieczne, często głęboko ukryte wady, złe skłonności, słabości wewnętrzne, które hamują wszelki rozpęd, wszelki poryw ku wolności, prawdziwej wolności synów bożych, zwiastowanej nam i przyniesionej przez boskiego Zbawiciela, Jezusa Chrystusa.

I.

W jednym ze swoich kazań, zapisanych w ewangelii św. Jana, wyrzekł ten Mistrz i Nauczyciel wielkie, wiekopomne słowa: *Jeśli wy trwać będziecie przy mowie mojej...*

poznacie prawdę, a prawda was wyswobodzi... (8, 31, 32). Uważcie, że to słowa Boga, więc słowa nieomylne, najpewniejsze.

Prawda — wolnością! Co za wspaniałe ujęcie! Prawda, nie tylko przyjęta jako dogmat wiary, co oczywiście Chrystus Pan przede wszystkim miał na względzie, ale prawda, służba prawdzie, umiłowanie prawdy, jako najwyższej kierownicy życia, postępowania, działania...

Czy tak jest w rzeczywistości, czy tak jest w praktyce codziennego życia? Oto pytanie, które wam się z nieubłaganą siłą i logiką ciśnie w tej chwili do głowy...

Więc odwróćmy nasze zagadnienie i bez żadnego wstępu spytajmy się z miejsca, czymże więc w życiu, w duszy, w charakterze będzie zaprzeczenie prawdy, będzie kłamstwo?

Ze słów P. Jezusa wynika niezbicie, że niewolą! Jeśli prawda wyswobadza, to oczywiście kłamstwo zakuwa w kajdany, pęta w więzy, wtrąca w niewolę!

Czy tak jest? Już zaczynacie rozumieć jaśniej ideę wewnętrznej wolności...

Tak! Kłamca — to niewolnik! Niewolnik tchórzostwa, słabej woli, lenistwa, wygody, miękkości, łatwizny życiowej. To człowiek, który tak daleko odbiegł od pojęcia wolności wewnętrznej, że stała się ona już dla niego czymś wprost niezrozumiałym, jak niezrozumiałym stał się i charakter. A w zakłamaniu swoim wewnętrznym ugrząsł już tak głęboko, że nawet nie dostrzega więzów, które go dniem i nocą krępują. On już właściwie sądzi, że musi kłamać. Nałóg ten zawisł nad nim, jak jakieś fatum nieszczęsne i pogrążył go w bezbrzeżnej niedoli... Biedny, biedny niewolnik...

Postawmy naprzeciw niego młodego miłośnika prawdy. On zdaje sobie sprawę z jej wielkości i majestatu. On wie, że ta wielka, wielka władczyni wymaga służby pełnej poświęcenia, zaparcia się, trudności, nawet bólu i łez, ale jakże przebogato, jak po królewsku płaci i nagradza tych, co jej służą!

Jakiż to ład wewnętrzny, jaki porządek panują w duszy rozmiłowanej w prawdzie! Jaka jasność opromienia jej całe

życie! Jaka z tej prawdy bije moc wewnętrzna, spokój, opanowanie siebie! Jak wielkie poczucie wolności, odwagi, pewności... Na wysokich i szczytnych zasadach buduje się dzień za dniem i rok za rokiem, coraz piękniejszy, coraz bardziej wartościowy charakter. Człowiek zyskuje nawet bez swej wiedzy i woli rzetelny szacunek u ludzi, głębokie zaufanie, szczerą życzliwość i przyjaźń. Świat wie o tym, że on nieprzystępny dla względów ludzkich, tchórzostwa, miękkości, przekupstwa. Że jego słowo, jak złota moneta, zawsze i wszędzie ma swoją wartość niezmienną, słowa uczciwego, prawego człowieka...

To wszystko zaiste dość i aż nadto, by w wrażliwych, z natury szlachetnych sercach rozbudzić ogromne pragnienie tej cnoty i tej płynącej zeń wewnętrznej wolności, którą za wszelką cenę zdobyć pragniemy w rekolekcjach naszych...

A cóż dopiero mówić o tej miłości, o tej przyjaźni, jaką człowieka prawdy darzy z nieba Bóg, prawda sama najwyższa i odwieczna i stąd też największy miłośnik prawdy.

Jeśli Boski nasz Mistrz nie waha się przed sądem u Piłata określić swego posłannictwa, swego zadania w słowach: *Ja się na to narodziłem i na to przyszedłem na świat, abym świadectwo dał prawdzie* (Jan 18, 37) — to jakże bardzo jego serce najświętsze ukochać musi każdego, kto idąc za prawdą, dając świadectwo prawdzie, miłując prawdę, jednoczy się z wielkim posłannictwem Zbawcy i rozszerza jego królestwo prawdy na tej ziemi...

O, przejmijcie się wszyscy, wszyscy najpierw wielkim poszanowaniem prawdy, we własnej duszy i w duszach bliźnich waszych... Przejmijcie się świętą obawą jej majestatu, przejmijcie się nade wszystko jej umiłowaniem, a uczynicie pierwszy wielki krok ku owej wewnętrznej wolności własnej, której zdobycie i utrzymanie będzie pierwszą, dostojną rękojmią zdobycia i zachowania charakteru.

II.

Jeśli rozum wiedzie nas do wolności, podając prawdziwe i niezachwiane poglądy i zasady postępowania, to wola jest

władzą czynu, władzą, która je wprowadza w życie; gdy trzeba, poświęca się, zapiera, a nawet walczy z niezliczonymi przeciwnikami i przeszkodami na drodze ku tej wolności.

Aby temu zadaniu mogła podołać, musi być silna, wyrobiona, stała, konsekwentna i wytrwała do ostatka.

I znowu widzimy, jak trudno, jak bardzo trudno o te przymioty. Jak słaba wola ulega lada przeciwności, jak się cofa, oszczędza, zamyka w miłym spokoju, wygodzie, lenistwie, jak wreszcie łatwo ulega temu najniebezpieczniejszemu ze złudzeń, iż swawola i samowola to dopiero wolność prawdziwa, miła i słodka.

Czyżby tak naprawdę być miało?

Iluż młodych wierzy w to święcie, duszą całą rwąc się do zwalenia wszelkich zapór, zrzucenia wszystkich obowiązków, do pozwalania sobie na każdą zachciankę, na każdą pokusę, na wszystko! Straszne to złudzenie, zabójcze dla charakteru i dla samejże wolności.

Gdy o tych niebezpieczeństwach myślimy, staje przed nami cały legion wad, złych skłonności, namiętności, które kuszą i nęcą młodego, przyrzekając mu w zamian za ustępstwo, za upadek rzekomą wolność i niezależność... I nigdy nie dotrzymują słowa!

Doprawdy niewiadomo, które z nich wybrać i wziąć na nasz rekolekcyjny warsztat do zbadania i oceny.

Pomówmy o lenistwie.

Na pierwszy, jakże płytki, rzut oka, lenistwo — to przecież właśnie wolność. Bo — rozumujesz: — praca jest niewątpliwie ciężarem, trudem, przykrością. Tej przykrości się poddać, ten ciężar podjąć, ja bynajmniej nie mam ochoty. Mnie się nie chce. Taka jest w tej chwili moja wola. Idąc za nią, używam słodkiej, miłej wolności.

Napozór wszystko wydaje się w porządku. Inni przymuszają się, siedzą nad książką, kują — ty się bawisz... Narty, ślizgawka, odwiedziny, zajmująca powieść... Czyż te przyjemności mogą iść w porównanie z gorzkim odrabianiem lekcji?

Gdzież słaby punkt tego całego rozumowania? Oto, że ono najzupełniej nastawione, obliczone na daną chwilę, na

doraźną sytuację. Bo przecież nie ma wśród was ani jednego, ktoby sądził, że można się zasadniczo i stale nie uczyć, że można bezkarnie marnować drogi czas młodości, nie kształcić umysłu, powtarzać klasy, marnować grosz na koszta takiej nauki... A lenistwo stale trwające, zakorzenione jako wada, do tego właśnie prowadzi... I mimo wszystko, powoli, nieznacznie bierze cię w swą sieć pajęczą. Nigdy nienasycone, wiecznie woła: więcej, więcej. Paraliżuje wolę, rodzi jej bezwład, ulega najmniejszej trudności, wzdryga się przed najdrobniejszym wysiłkiem. Ani się spostrzegasz, jak jesteś oplątany, omotany straszliwymi mackami tego polipa, który w dodatku już wkrótce zabierze się do wysysania z ciebie na drodze, w jaką cię wywiódł, najdroższych, bezcennych soków twej młodości.

Tak się kończy owa wymarzona wolność, raczej opłakana samowola leniwca.

Postawmy mu naprzeciw człowieka pracy i obowiązku!

Jasne zasady, które zdobył jego umysł, poznanie woli bożej i przykazania pracy, poczucie uczciwości i honoru dzień w dzień wiodą go do warsztatu, który wybrał jako zadanie i powołanie swej młodości. On naprawdę, świadomie i zdecydowanie chce pracować, chce się uczyć, umie sobie to i potrafi nakazać. Sam zasiada u kierownicy życia. Wytycza szlaki i zdąża ku nim, nie zbaczając na krok od swych postanowień. Jest panem siebie, panem swego czasu, panem swej pracy. W dziedzinie obowiązku zachowuje się z godnością, jak władca, nie jak niewolnik i czerpie stąd tyle siły, spokoju, równowagi, że budzi podziw i zazdrość szlachetną towarzyszów, których potęgą swego przykładu pociąga do naśladowania.

I któryż z tych dwóch zda ci się naprawdę wolnym?

Lecz spójrzmy jeszcze na inną wadę zagrażającą woli. Niech będzie nią młodzieńcza próżność! I ona na pierwszy rzut oka, bynajmniej nie wygląda na coś groźnego. Ot, zwyczajna, powszechna słabość ludzka! A czegóż potrafi dokazać, w jaką niewolę zapędzić nieraz bardzo rozumnego i dobrego człowieka.

Próżność! Ta ciągła pogoń za uznaniem, za poklaskiem, za popularnością. Ta wieczna obawa przed ludzkim względem... Ten wieczny wysiłek, by robić lepsze wrażenie na drugich, by imponować, zwracać na siebie ich uwagę i to byle czym, byle świecidełkiem, fatałaszkiem... To żebranie i skamlanie o słówko pochwały, pochlebstwa, pogłaskania... Mój Boże, jakież to niskie, poniżające, niegodne człowieka. I jaka to niewola okropna!

Możnaby powiedzieć, że taki chłopiec, taki uczeń robi wszystko na pokaz. Na pokaz się uczy, na pokaz pisze zadania, wypełnia przepisy szkolne, na pokaz nawet się modli, zawsze zajęty tym jednym, aby się ludziom podobać. Poluje też na jakiekolwiek wyróżnienie w klasie, w organizacji, zabiega o prezesurę lub przynajmniej godność sekretarza, skarbnika; szalenie lubuje się we wszelkich publicznych występach... Uważacie, co za niewolnik próżności, miłości własnej, przeczulonej ambicji i ludzkiego względu.

A zobaczmyż człowieka wolnego! I on rozumnie będzie się starał o to, by mieć dobrą opinię u ludzi, ale wysiłek swój oprze zawsze na rzetelnych, istotnych wartościach duszy, które będzie usiłował w sobie wyrobić. I on w tej opinii szukać będzie czasem dźwigni do przełamania pokusy, ale nigdy nie dozwoli, by ta opinia stała się dlań tyranem bezwzględnym domagającym się aż zaparcia swoich przekonań i zasad. On będzie pamiętał o słowach boskiego Mistrza: *Tak niechaj świeci światłość wasza przed ludźmi, aby widzieli uczynki wasze dobre i chwalili Ojca waszego, który jest w niebiesiech* (Mat. 5, 16). Wszelkie uznanie, powodzenie, pochwały odnosząc do Boga, będzie też umiał wśród nich powtarzać słowa psalmisty, tak niegdyś pięknie stosowane przez Jana Sobieskiego po wspaniałym zwycięstwie wiedeńskim:

Nie nam Panie, nie nam,
ale imieniowi twemu daj chwałę (113, 9).

I do jednego jeszcze więzienia młodych dusz przyjdzie nam zajrzeć i jedne jeszcze pęta niewoli — bodaj najstraszniejszej oglądnąć — pęta i kajdany zmysłowości.

Mówi się dziś czasem w utartym frazesie o demonie zmysłów i zdaje mi się, że nie ma w tych słowach przesady. Zaiste jakaś demoniczna siła tkwi w tym szukaniu za wszelką cenę wolności zmysłowej, która niepostrzeżenie przemienia się w najpodlejszą służbę ciała i najniższych żądz czy namiętności. Oczywiście niezawsze i nie u każdego młodego dochodzi ona do tak niebezpiecznego stopnia, ale czyż sama możliwość popadnięcia w taki stan, nie powinna każdego z was przerażać?

Nieopatrznie wypuszczone z ręki wodze kierownictwa sobą, lekkomyślne lekceważenie początkowych pokus i podniet, tak zresztą zwyczajnych w waszym wieku, rychło rozpala się jak siarka trudnym do ugaszenia płomieniem o duszących i trujących wyziewach...

Gdybyśmy potrafili jakimś cudem prześwietlić duchową i fizyczną istotę takiego młodego niewolnika, przekonalibyśmy się ze zdziwieniem, jak wielką i głęboką w odniesieniu do niego prawdę kryją słowa Pana Jezusa: *Zaprawdę, zaprawdę mówię wam, iż wszelki, który czyni grzech, jest sługą grzechu!* (Jan 8, 34). Co za mocne słowo! Sługa grzechu! I to jakiego grzechu! Bo przecież człowiek chlubi się tym i chełpi, że przez Boga postanowionym został panem przyrody, pogromcą dzikich zwierząt, które siłą swego rozumu i woli umie od wieków wprzęgać w swą służbę... Ale iżby ten człowiek, tak mądry i tak potężny oddawał się na służbę tego, co w nim jest najbardziej zwierzęce, najbardziej dzikie i namiętne... to jakiś przewrót, jakaś katastrofa w porządku bożym, w porządku przyrodzonym, którą doprawdy trudno nam zrozumieć...

Weźmy myśli takiego młodzieńca. Najłatwiej i najchętniej obracają się one ciągle w zaklętym kole zmysłów i zmysłowych tematów. Niewola, której się poddały niebacznie, sprawia, że przedmioty nawet najobojętniejsze ze swej natury w jego umysłowości zabarwiają się stale jakimś cielesnym kolorem. To samo jego wyobraźnia, uczucia, pragnienia. Rzekłbyś jakimś fatalizmem porwane zbaczają zawsze w łożysko ulicznego ścieku... Książka? — o tyle dobra, o ile drażni i pobudza... Film? Przedstawienie? Zabawa towarzyska — tak samo. Po-

mysły, plany, projekty — wszystko nieraz wprost mimowoli zdąża w tym jednym kierunku... Wydaje się, jakby on nie potrafił o niczym innym myśleć, niczym innym się cieszyć, niczego innego pragnąć... Świadom swojej nędzy, swojej niewoli raz i drugi próbuje zrywać te więzy, targać pęta i wnet, znużony swą bezwolą, opada w jakąś tępą rezygnację i zwątpienie, czy on kiedykolwiek jeszcze może się stać lepszym... czystym... wolnym...

Czy może?

Tak jest! Ponad wszelką wątpliwość! Może od dziś, byle zechciał, ale zechciał naprawdę i całą potęgą duszy. I byle jął się nieugięcie środków i lekarstw wiodących ku zdrowiu, ku wolności...

Gdy raz jej skosztuje, gdy raz rzuci sobie pod nogi zwierzęcą pokusę, namiętność, gdy poczuje się panem siebie i synem bożej wolności, już niełatwo mu przyjdzie młode dłonie wyciągnąć pod straszliwe kajdany i duszę młodą zakuć w niewolę.

* * *

Moi Najdrożsi!

Ku tej wolności wieść was pragną rekolekcje nasze, ku tej wolności wieść was pragnie sam Bóg, ten Bóg, którego radością i chwałą jest być Bogiem dusz wolnych, dusz królewskich!

Spójrzcie raz jeszcze dzisiaj na taką wolną duszę, królewską zaiste duszę św. Pawła. On może, on powinien stać się wam wielkim wzorem i wielkim patronem tej wewnętrznej wolności, której piękno, blask i majestat — jak ufam — rozpaliły dziś młode serca wasze...

Paweł — człowiek wolny!

Wolny nie tylko przez to obywatelstwo rzymskie, którym się chlubi nieraz w życiu jako Tarseńczyk i *civis Romanus*, ale — co większe i wspanialsze bez porównania — przez to dostojne obywatelstwo w królestwie własnej duszy, które rzec można — on pierwszy w świecie wydźwignął na niebosiężne szczyty i wprowadził w blaski najgodniejszego człowieczeństwa.

Z jego kazań, z jego listów bije przeogromna potęga tej wolności, tego opanowania siebie bez reszty, tego poczucia mocy, której nie zwalczy ni pokusa ni grzech, ni szatan ni człowiek, ni sam cezar z całą potęgą światowładnego imperium!

On — Paweł stanął ponad tym wszystkim i czuje się tytanem, olbrzymem ducha naprawdę niezwyciężonym! I oto woła w liście do Rzymian:

Któż tedy nas odłączy od miłości Chrystusowej? utrapienie czyli ucisk? Czyli głód, czyli nagość? czyli niebezpieczeństwo? czyli prześladowanie? czyli miecz?

Ale w tem wszystkiem przezwyciężamy...

Albowiem pewien jestem, iż ani śmierć, ani żywot... ani teraźniejsze rzeczy, ani przyszłe, ani moc, ani wysokość, ani głębokość, ani inne stworzenie nie będzie nas mogło odłączyć od miłości bożej, która jest w Chrystusie Jezusie Panu naszym (8, 35—39). Amen.

IV.

GRZECH.

Spotkaliście się już nieraz w waszych książkach, w nauce, w wykładach z pięknym porównaniem przyrody do księgi otwartej, z której można nadzwyczaj wiele wyczytać, dowiedzieć się i nauczyć. Wprawdzie wielu ludzi płytkich i powierzchownych nie umie, a często wprost nie chce sięgnąć w głąb tej skarbnicy niezmierzonej i czerpać z niej zadziwiające tajemnice i prawdy, tym większe jednak rozkosze gotuje ona dla swych szczerych, mądrych przyjaciół, przed którymi otwiera dostęp do nieprzebranych, nieprzeliczonych cudów...

Gdy w czasie niedawnych wakacyj znalazłem się na skrawku polskiego wybrzeża Bałtyku i długie godziny spędzałem w ciszy niezmąconej i całkowitym spokoju nad łagodnie szemrzącymi jego falami, patrząc na nieskończone obszary morza z jakąś nieodpartą koniecznością myślałem zawsze o nieskończonej wielkości Boga, o jego mądrości i wszechmocy i piękności, o majestacie Stwórcy nieba i ziemi i oceanów, co tak przedziwnie zdają się odbijać jego nieskończoność boską, a zarazem głosić skończoność, małość i nicość człowieka, tej kruszyny prochu i pyłu, co przemija i znika niesiona wichurą życia...

Proch i pył!

Niewielu z was danym było bawić nad brzegiem morza, lecz któż nie był w Tatrach? Któż nie widział tych maleńkich, ciemnych czy jasnych robaczków przytulonych do grani, tych ledwoznacznych punkcików w majestatycznym bezmiarze gór... Ach, to ludzie! Może nawet wielcy i sławni, czymże są tu wobec majestatu skalnej przyrody, wobec nieskazitelnego jej piękna, wobec jej przytłaczającej wielkości...

Prochem i niczym!

A teraz na chwilę, na moment jeden pomyślcie Ukochani moi o tym, który to wszystko wywiódł z nicości, jednym swym potężnym słowem stworzył, nadał najwyższe niezłomne prawa i doskonałe ustanowił cele... Pomyślcie o Stwórcy tych cudów i wspaniałości, tej przyrody całej, martwej i żywej, pomyślcie o Bogu!

Czymże wobec niego człowiek? Wobec tego nieskończonego majestatu, nieskończonej mądrości, potęgi, świętości... Człowiek — wobec Boga wszechmocnego! Aż dziw robić wogóle takie zestawienie, takie porównanie, bo my czujemy, rozumiemy, że tu porównań właściwie być nie może.

Z tego punktu widzenia patrząc na człowieka i jego sprawy, pojąć jeszcze zdołamy w pewnej mierze, acz z trudem stosunek do Boga ze strony człowieka wiernego, dobrego, uczciwego sługi. Pojąć zdołamy człowieka strzegącego woli i przykazań bożych, na którego ten wielki, największy Bóg raczy łaskawie spoglądać, o którym raczy pamiętać...

Ale kto z nas zdoła pojąć w tej chwili człowieka buntującego się? Człowieka uniesionego bezgranicznym, niepojętym zuchwalstwem, człowieka ważącego się deptać wolę Boga, wznoszącego pięść ku niebiosom i wołającego z księciem szatanów: *Non serviam — nie będę ci służył?* (Jer. 2, 20).

Takim niepodobieństwem wydać nam się musi grzech! A jednak grzech jest na ziemi, jest wśród ludzi i to jak częsty, jak lekceważony, jak ciężki! Grzech dokonywa się w oczach naszych i to nie raz, nie dziesięć razy... Dokonywa się nawet we własnej duszy naszej... Dokonywa się, dopełnia się rzecz potworna, przerażająca wielkością swego zuchwalstwa — świadoma, dobrowolna obraza nieskończonego Boga!

Podjęliśmy wielkie dzieło przełomu! Chcemy uczciwie, szczerze, mocno wyłamać się z dotychczasowego życia, chcemy wyłamać się z torów zła, upadku, śmierci — musimy przeto bliżej przypatrzeć się grzechowi, sprawcy naszej niewoli, naszego nieszczęścia, okrutnemu niszczycielowi wszystkiego, co w nas dobre, prawe, szlachetne i piękne... Przypatrzeć się i zetrzeć z duszy, jak ściera się jadowitą pleśń, jak wyniszcza

się zabójcze zarazki, jak tępi się do szczętu straszliwe epidemie...

I.

Grzech jest buntem, jest oporem, nieposłuszeństwem — jak słyszeliście przed chwilą, lecz czy grzech jest nieszczęściem, czy jest naprawdę nieszczęściem, przekleństwem człowieka?

Jak łatwo i jak często się dopełnia, tak trudno nam w to uwierzyć. A jednak!

Przyjrzyjmy się nieco bliżej tej podstawowej prawdzie naszej chrześcijańskiej moralności.

W przyrodzonym porządku rzeczy, w całej dziedzinie przyrody żywej — śmierć uchodzi za zło najwyższego rzędu i stopnia. I istotnie prosty rozum poucza nas, że wśród wszystkich bez wyjątku dóbr ziemskich, doczesnych, fizycznych najwyższym dobrem jest życie. Wszystko, co tylko wśród tych dóbr możemy sobie pomyśleć czy wyobrazić, zależy zawsze od posiadania życia. Majątek, rozkosze, przyjemności, godności, władza, mogą w jednej chwili stracić całe swoje znaczenie dla człowieka, stać się dlań poprostu niczym... Tą chwilą jest godzina śmierci. Stąd też ludzkość zawsze uważała, że kara śmierci jest dla człowieka, ogólnie biorąc, karą najcięższą, najdotkliwszą.

Dusza nasza z natury swej jest nieśmiertelna, nie może ulec zniszczeniu i to nigdy, z chwilą gdy raz przez swego Stwórcę została powołana do bytu. A jednak uczy nas wiara, że dusza wyniesiona przez łaskę uświęcającą do porządku nadprzyrodzonego, do wyższego życia w Bogu i z Bogiem, może ten bezcenny klejnot utracić, może w zasięgu tego życia zamrzeć, zmartwieć — a to przez jeden jedyny grzech ciężki, słusznie acz przerażająco z tego powodu grzechem śmiertelnym zwany.

Grzech śmiertelny! Grzech niosący z sobą śmierć tego, co w nas najdroższe, najświętsze — boże! Grzech przecinający zjednoczenie z Bogiem, zabijający życie nadprzyrodzone, odwracający człowieka od jego świetnego, wspaniałego celu

i przeznaczenia — czyż to nie największe zło, jakie go może spotkać w życiu ziemskim?

W ciągłym tego życia rozgwarze, w nieustannych jego złudzeniach w pogoni za doczesnością, dziś zwłaszcza z taką siłą ludzkiego geniuszu, techniki, postępu wmawianą nam jako szczyt wartości i szczęścia, bardzo łatwo ulegamy tej najfatalniejszej z pomyłek, że ziemię gotowiśmy uznać za naszą istotną ojczyznę i życie ziemskie za ostateczny cel naszego istnienia. Stąd zadziwiające niezrozumienie roli grzechu i stąd znów równie zadziwiające jego lekceważenia.

Ale przystańmy tylko na chwilę w tym wirze, pomyślmy głębiej o sobie, o Bogu, otwórzmy szerzej oczy naszej duszy — a w tej samej chwili ten lekceważony, wiecznie usprawiedliwiany, za nic miany grzech pocznie rosnąć w postać jakiegoś okrutnego, odrażającego olbrzyma, który w duszę naszą, ba! — w życie całe, wnosi ciągle samo tylko zło, samo przekleństwo, samo nieszczęście, bo odwraca nas od istotnej racji naszego istnienia, od najwyższego naszego celu, od najcenniejszego naszego klejnotu — odwraca nas, odrywa, oddala od Boga!

Dlatego cała teologia chrześcijańska, dlatego niezliczeni myśliciele, pisarze, święci od dwudziestu wieków wysilają swój umysł, swoje serce, by ludzkości ukazywać grzech w jego właściwej postaci, by ją przed tym grzechem chronić i bronić. Dlatego Kościół Chrystusowy, ten największy po Bogu ludzkości przyjaciel i mistrz nieporównany niesłychaną ilość nadprzyrodzonej swojej, a nawet przyrodzonej, energii zużywa na nieustanną, zaciekłą walkę z grzechem. On, najgłębszy powiernik myśli bożej na świecie, wie doskonale i wie nieomylnie, że ze wszystkich nieszczęść trapiących ludzi największym najokrutniejszym zawsze pozostanie grzech i jeśli nad czym boleje w swym macierzyńskim sercu, to nad tym, że jego wierni, jego synowie tej prawdy nie chcą zrozumieć, w tę prawdę nie chcą praktycznie i życiowo uwierzyć.

I gdyby nasz Kościół nic więcej w ciągu swego istnienia nie czynił, jak tylko z tą zdumiewającą wytrwałością prowadził nieustraszenie walkę z największym nieszczęściem świata — z grzechem, zasługi jego wobec ludzkości byłyby wprost nie-

skończone. Bez wątpienia większe od zasług wszystkich królów, wodzów, wynalazców i odkrywców.

A ile tego nieszczęścia usunął on już ze świata, ile niebezpieczeństwa grzechu oszczędził, ile dusz przed nim ochronił, ile dotkniętych już zarazą wyleczył — tego nigdy i nikt zliczyć ni ocenić nie potrafi — to wiadomo jednemu tylko Panu Bogu!

Myśmy tego Kościoła synami od kolebki, od dnia chrztu św. Mieliżbyśmy w tym jego dziejowym wysiłku przeszkadzać? Mieliżbyśmy sumienie grzech lekceważyć i usprawiedliwiać?... Mieliżbyśmy serce ten grzech przez własne upadki mnożyć?

Zaiste dziś za łaską bożą jaśniej niż zwykle pojęliśmy, jakim złem stał on się w świecie. Dziś otworzyły nam się oczy na nieszczęście, jakie w naszą własną duszę wprowadził. Dziś też, nie odkładając na później, winniśmy z grzechem rozpocząć stanowczą, męską walkę i raz wreszcie jego zdradzieckie zakusy na nas, na nasze szczęście i zbawienie unicestwić!

To będzie ostateczny przełom wewnętrzny, w imię którego rozpoczęliśmy w tym roku rekolekcyjną pracę.

II.

Obraza majestatu bożego i największe nieszczęście człowieka — oto więc istota grzechu, ale bynajmniej jeszcze niewyczerpana całkowicie. Postąpmy krok dalej i przypatrzmy mu się z innego jeszcze stanowiska, jakie nam nasuwa nasza wiara.

Na kartach listów apostolskich św. Jana, najwierniejszego i najbardziej ukochanego spośród uczniów przez Jezusa znalazły się, jak słyszeliśmy wczoraj, słowa, nad które piękniejszych napewne nikt o Bogu nie wypowiedział — *Bóg jest miłością* (1 Jan 4, 8).

Pomyślcie tylko! Nie mówi ewangelista: Bóg ma, posiada, żywi miłość... Nie powiada: Bóg jest pełen miłości... lecz *Bóg jest miłością*. Więc Bóg i miłość to jedno. Ona stanowi istotny przymiot Boga, niemal jego naturę, tak że możemy powiedzieć za natchnionym pisarzem: naszym Bogiem jest miłość!

Miłość najwyższa i najgłębsza, miłość najgorętsza i najżywsza, stąd też miłość najofiarniejsza, oddająca się bezgranicznie... I komu? Duszom ludzkim — duszom wszystkich, więc i duszy twojej.

Duszy twojej — przede wszystkim dlatego, że jesteś człowiekiem, umiłowanym arcydziełem mądrości, wszechmocy i miłości bożej... Duszy twojej, bo ona już w porządku czysto przyrodzonym ubogacona rozumem, wolą, nieśmiertelnością — więc tymi samymi właściwościami, które, acz w stopniu nieskończenie doskonalszym, posiada i sam Bóg.

A miłość, jak wspomniałem najofiarniejsza i najbardziej oddana czyni wszystko dla twego najistotniejszego szczęścia, czyni z takim wylaniem siebie i z taką mocą, że wobec niej blednie miłość najlepszego ojca, najczulszej matki... Wszak ona to sama te przecudne o sobie mówi słowa: *Izali może zapomnieć niewiasta niemowlęcia swego?... A choćby ona zapomniała, ja nie zapomnę o tobie...* (Iz. 49, 15).

I wobec tej miłości — grzech!

Cóż to za ohyda!

Wzburza nas do głębi wstrząsająca opowieść o buncie Dawidowego syna, Absalona przeciw rodzonemu ojcu, przeciw któremu wyciąga w pole na czele wojska, grożąc wyrwaniem królewskiej władzy... Wzrusza nas twardy i zimny wobec najlepszego ojca ewangeliczny syn marnotrawny... Ze wstrętem czytamy jawiące się od czasu do czasu na szpaltach dzienników w sprawozdaniach z rozpraw sądowych opowieści o wyrodnych dzieciach... Wydaje nam się to wszystko — i słusznie — czymś przeciw naturze, przeciw przyrodzonym właściwościom człowieka...

Wychował raz ubogi ojciec, biedny doróżkarz córkę jedyną troskliwie i starannie... Od ust sobie odejmując, posyłał do szkół, ubierał, pielęgnował, aż panienka znalazła bogatego męża i w mieście zamieszkała w dostatku i wygodach wszelkich... A ojczysko postarzał się, zesłabł po ciężkiej pracy życia całego i jedyną pociechę znajdował w ulubionych skrzypkach, na których piękne sobie i drugim wygrywał melodie. Córki dawno już nie widział. Jakoś mu nieswojo było, prostemu

człekowi pchać się na pańskie salony. Raz chociaż przecie chciał ją odwiedzić i nacieszyć się wnuczętami, o których wiele słyszał... Nadeszły święta Bożego Narodzenia. Umyślił więc sobie starzec, że weźmie swe skrzypki pod pachę i powędruje do miasta, aby w wigilię u choinki zagrać najbliższym swoim cudną kolędę...

W mroźny wieczór zbliżył się nieśmiało do wielkiego domu, zapukał drżącą ręką do drzwi córki. Otwarto mu. Lecz powitanie dziwnie było suche, oziębłe, pełne zakłopotania, niechęci nawet... Już ani słówkiem nie wspomniano mu o wigilijnej wieczerzy, w kuchni przyjęto jakąś skromną przekąską. Na wieczór mieli być goście u państwa. Więc córka jego w podworcu zimną komórkę ojcu wskazała i tapczan w niej twardy i tłomacząc się niezręcznie brakiem miejsca w mieszkaniu, dobrej życzyła nocy... Nocy Bożego Narodzenia...

Zapłakał starzec! Szloch głęboki wstrząsał jego chudą piersią i długo utulić się nie mógł, aż skrzypki ukochane wyciągnął i zgrabiałymi z zimna palcami wygrywać począł kolędy o Dziecinie w betlejemskiej szopie na świat nieczuły schodzącej..

W salonach córki jarzyła się bogata choinka, liczni goście zasiedli do stołu, wesoła odezwała się muzyka. O starym ojcu nikt słowem nie wspomniał.

Gdy zimowe słońce Bożego Narodzenia z mroźnych oparów wybłysło, w podwórzowej komórce zastano zmarznięte zwłoki starego grajka... ojca!

Straszne — nieprawda?

Czy serce ludzkie, serce rodzonego dziecka może tak zmarznąć w bryłę lodu, skrzepnąć w kamień nieczuły, niewdzięczny, okrutny??...

A czymże jest grzech, grzech syna wobec bezbrzeżnej dobroci niebieskiego Ojca?

O słuchaj, słuchaj, jak skarży się on wstrząsająco ustami proroka swego: *Słuchajcie niebiosa, a weźmij w uszy ziemio, albowiem Pan mówił: Wychowałem synów i wywyższyłem, a oni mię wzgardzili...* (Iz. 1, 2).

O, tak! Stworzył cię, wychował, wypiastował dla siebie i w sobie dla twojego szczęścia. Dał ci łask mnogo i darów bez miary. Krwi Syna własnego nie poskąpił i obmył nią twą grzeszną duszę w chrzcielnej krynicy, strojąc ją w klejnoty świętości łaski, dziecięctwa swego królewskiego... Cóż jeszcze więcej miał uczynić dla ciebie?

Szedł z tobą przez życie dziecięce i młodzieńcze krok w krok, jak mistrz i przewodnik i przyjaciel... Dał ci dobrych kochanych rodziców, posyłał kapłanów, nauczycieli zacnych, opiekował się najczulej twoją duszą, strzegł w niej bogactw nadprzyrodzonego życia... A tyś za to wszystko miał odwagę, miał serce odwrócić się od niego i służby swojej i miłości i oddania odmówić, a zwrócić je do stworzeń, do upadku, do zła. I miałeś odwagę i serce rzec ojcu twemu w niebiesiech: „Nie chcę cię znać, ni znać twojej woli. Odrzucam precz twoją miłość i gardzę twymi darami. Znosić nie będę twego ojcostwa, ni twego serca, twej opieki ani twej łaski... Pójdę przez życie własną drogą i własną wolą...“.

A tak mówi grzech, tak mówi twój grzech i tak depcze to, co najdroższe, co najświętsze w świecie — miłość bożą i tak zrywa z Bogiem, z Bogiem, który jest miłością!

Zaiste niepojęte! Niepojęte tym bardziej, im częściej się powtarza — bo każdy grzech śmiertelny jest taką zbrodnią nieczułości, niewdzięczności rodzonego dziecka wobec najlepszego, najczulszego, boskiego Ojca!

A u ciebie ile razy już powtórzyła się ta zbrodnia i ta niewdzięczność? Pomyśl i policz!

III.

Na jeden jeszcze moment niezmiernie ważny, zasadniczy pragnę skierować waszą uwagę w tym rozważaniu o grzechu, mianowicie na jego stosunek do zasadniczej idei naszej wiary, naszej chrześcijańskiej moralności. W jej bowiem świetle dopiero każdy grzech, ale przede wszystkim grzech śmiertelny, występuje w całej swej jaskrawości, jako tej idei oczywiste zaprzeczenie, w pewnej mierze możnaby powiedzieć — jako jej zaparcie się.

W ewangelii św. Jana, w przecudnej nauce Pana Jezusa o sobie, jako dobrym pasterzu znajduje się zdanie jedno kryjące w sobie treść przebogatą i najgłębszą. Mówiąc o swym posłannictwie i swych owcach, ten pasterz najlepszy takie oto rzuca słowa: *Jam przyszedł, aby* — owce moje — *żywot miały i obficiej miały* (10, 10).

Nie można dość mocno i dość gorąco podkreślić tych słów, ich wartości dla naszego także powołania i posłannictwa. Boski Zbawiciel, mając w pamięci zarówno ubiegłe lata swego życia ziemskiego, ich ubóstwo, pracę, głód i poniewierkę, jak i nadchodzącą przyszłość straszliwej męki i śmierci krzyżowej, oświadcza uroczyście, że istotnym celem tego wszystkiego jest zapewnienie duszom życia nadprzyrodzonego, życia łaski i to w całej pełni i w całej obfitości — *Aby obficiej miały.*

Nad tymi słowami nie wolno katolikom przejść obojętnie, nie wolno udać, że ich nie słyszy, czy nie rozumie...

Tryska z nich przedziwny, nadziemski idealizm Chrystusowej nauki, Chrystusowej religii, bije od nich jasność oślepiająca, idzie potężny na cały świat głos — owce moje, wierni moi — to istoty żyjące życiem nadprzyrodzonym, to istoty zanurzone w nadprzyrodzoności, która z mojej woli i z mojej ofiary, a z ich powołania ma być ich żywiołem, jak powietrze żywiołem jest dla ptaków, a woda dla ryby...

Czy my o tym pamiętamy, czy kiedyś poważniej zastanawiamy się nad tą wielką, wspaniałą, dla nas najzaszczytniejszą ideą nadprzyrodzonego powołania i czy kiedy już w świetle tej idei spojrzeliśmy na istotę i rolę grzechu śmiertelnego w tym nadprzyrodzonym życiu?

Bo przecież nie ulega to najmniejszej wątpliwości, że ten grzech jest jego całkowitym zaprzeczeniem, jest jego zaparciem się, tym straszniejszym, że dopełnia się całkiem świadomie i całkiem dobrowolnie. Ten grzech urasta do rozmiarów jakiejś demonicznej, piekielnej zaiste potęgi, która duszę odkupioną przez Chrystusa wyrywa z kręgów nadprzyrodzoności i w jednym momencie spycha do życia czysto przyrodzonego, do którego nie potrzeba bynajmniej ani łaski, ani Chrystusa, ani jego męki i śmierci... Ta zła, okrutna potęga w jednej

chwili stawia człowieka poza łącznością z boskim Zbawcą, poza cudowną doń przynależnością, poza naszym wreszcie wiekuistym, królewskim przeznaczeniem i wolnością synów bożych.

Myślę, że gdyby komuś z nas danym było raz w życiu ujrzeć na własne oczy ogrom tragedii dokonywującej się w duszy chrześcijańskiej upadającej w grzech ciężki, potworność obrazu, jakiby ujrzał, nigdy i nigdy nie dałaby się wymazać z jego pamięci.

I pomyślcie teraz, że ten grzech tak często u niejednego powtarza się w życiu... Że trwa już może od lat jako czynnik panujący w duszy... Cóż za zniszczenie! Cóż za ruina! Co za nieszczęście!

I to właśnie, to jest powodem, dlaczego dusza zanurzona w grzechu tak dziwnie szybko i dziwnie gruntownie staje się nieczuła na wszystko, co boże, co nadprzyrodzone, co wieczne. Wydaje się, jakby postradała jakiś organ uzdalniający ją dotąd do widzenia, do rozumienia, do sądzenia nadprzyrodzonego... Staje się głucha i ślepa, uparta i zaciekła, we wmawianiu w siebie, że właściwie wszystko jest dobrze, że nie ma się czym martwić, że inni jeszcze gorzej... że kiedyś może się zmieni... i tak dalej bez końca, ciągle w złudzeniu, w fałszu, w mroku... Jakiż to stan okropny i jak nieskończenie daleki, daleki od Chrystusa dobrego pasterza, wiodącego umiłowane owce na pastwiska, które im *żywot dają i obficiej dają...*

Zali do tego Pasterza wróci ona jeszcze kiedy? Zali wróci do życia, do pełni życia w nim i z nim?

Jakiż dreszcz świętej radości winien ją przeniknąć na samą myśl, na samą możliwość, że cud ten, ta łaska, to dobro niepojęte może się w niej dokonać dziś... Jeszcze dziś!

* * *

Na małą chwilę wróćmy jeszcze do naszego drogiego św. Pawła.

Czytamy w Dziejach Apostolskich, że gdy znalazł się w Atenach i zwiedzał to sławne miasto i przyglądał się obyczajom jego mieszkańców: *wzruszał się w nim duch jego, widząc miasto oddane bałwochwalstwu* (17, 16).

Oh, gdybyście go widzieli, jak jego czarne oczy zdały się rzucać pioruny, jak ściągały się brwi, kurczyła się bólem i gniewem twarz na ten straszny grzech pogańskiej, grubej, zmysłowej, szczególnie w owych czasach, wiary...

A oto w innej stolicy greckiej, w przesławnym Koryncie, gdzie niemałym i ofiarnym trudem założył gminę chrześcijańską, pokazało się zło, w umiłowaną owczarnię wszedł grzech, jako wilk i począł rujnować dzieło jego rozumu i serca i ofiar niezliczonych. I wielki Apostoł nie może powstrzymać gniewu i rzuca groźbę surową, mocną: *Co chcecie? Z rózgąli mam przyjść do was?* (1 Kor. 4, 21).

Mocne słowa i twarde, ale jakże zrozumiałe w ustach tego, który wszystko poświęcił dla zdobycia dusz Chrystusowi i który, jak mało kto, rozumiał straszliwe spustoszenie, jakie grzech wnosi w życie nadprzyrodzone wyznawców Chrystusa!

A gdyby Apostoł narodów przybył do nas... Gdyby wszedł w progi tej małej gminy chrześcijańskiej, która się naszą szkołą nazywa... Gdyby się przyjrzał obyczajom, gdyby posłuchał rozmów, gdyby przeniknął dusze... Jak myślicie, Drodzy moi — czyby duch jego nie *wzruszał się* świętym oburzeniem i grozą, czy ręka nie radaby była ująć za rózgę, by wyplenić zło... okropne, niszczące, zabójcze?...

O, my go rozumiemy dziś lepiej niż kiedybądź indziej. My dziś rozumiemy lepiej istotę grzechu — największego zła, największego nieszczęścia i każdej duszy i całej ludzkości...

Weszliśmy na drogę przełomu i dziś dokonamy go do końca, wiernie, uczciwie, stanowczo!

Z Szawłem pytajmy słodkiego Mistrza i Zbawcy naszego: *Panie, co chcesz, abym uczynił?*

Z nawróconym już, gorejącym miłością Pawłem wołajmy: *Mnie żyć jest Chrystus! Pragnienie mam... być z Chrystusem...* (Fil. 1, 21, 23). *Bieżę do kresu, do zakładu wysokiego wezwania bożego w Chrystusie Jezusie* (3, 14). *Albowiem wszystko mogę w tym, który mnie umacnia...* (4, 13). Amen.

V.

ABY WYTRWAĆ...

Przed wielu już laty odwiedził mnie raz dziwny człowiek. Twarz jakaś obca... Dobrze siwiejące włosy wskazywały na wiek chylący się ku starości, żywe, ruchliwe oczy zdradzały bystrość i inteligencję. Istotnie był to wykształcony za granicą żyd, który już dawno przyjął chrzest święty i właśnie krzątał się gorliwie około misji nawracania swych dawnych współwyznawców w Polsce. W tej sprawie właśnie przybył do mnie i zaraz na początku rozmowy chcąc wzbudzić zaufanie ku sobie i dowieść szczerości swych zamiarów, odgarnął lekko włosy i pokazał kilka wcale głębokich blizn na głowie...

— Oto moja legitymacja — mówił. — Te zaszczytne znaki zostały mi po ranach, jakie odniosłem w dniu chrztu mojego... Gdy wychodziłem z kościoła, posypał się na mnie grad kamieni z rąk mych rodaków, których do szału niemal doprowadziła wiadomość o mym wystąpieniu z synagogi.

Na dźwięk tych słów stanęły mi żywo w pamięci wielkie słowa św. Pawła, którymi przed wiekami legitymował swoją wierność w służbie Chrystusowej, czystość swych zamiarów, prawdę swojego posłannictwa... *I ja się przechwalać będę* — pisze w drugim liście do Koryntian — *w pracach rozlicznych, w ciemnicach obficiej, w razach nad miarę, w śmierciach częstokroć... Trzykroć byłem bity rózgami, raz byłem ukamieniowany, trzykroć się z okrętem rozbiłem... W pracy i w kłopotach, w niespaniu częstym, w głodzie i w pragnieniu, w postach częstych, w zimnie i nagości...* (11, 18, 23, 25, 27).

Tak, ponad wszelką wątpliwość wierność i służba Apostoła nie miały sobie równych w dziejach Kościoła, widać

z nich, iż nawrócenie jego niegdyś było całkowite, przemiana dogłębna, przełom zupełny.

Jaki będzie nasz przełom po tych rekolekcjach?

O, jakże bardzo interesuje was w tej chwili to pytanie! Rekolekcje dobiegają końca... Wkrótce pogasną światła na ołtarzu, opustoszeje ten dom boży, opuścicie go i życie codzienne znowu chwyci was w swoje tryby i koła, z błyskawiczną szybkością unosząc ku wiecznie nowej, wiecznie zmiennej przyszłości.

Co będzie ze mną? Czy mój zwrot ku Bogu, ku dobremu, ku cnocie ostoi się w tym rozgwarze i rozmachu? Czy przełom rekolekcyjny przetrwa zwycięsko próbę czasu... pokusy... okazji??

Zaiste głębokie to i niezmiernie doniosłe pytania i wielu, wielu z was lęk jakiś dziwny ogarnia przed odpowiedzią, przed rozwiązaniem...

O, niechże wielki patron tych rekolekcyj, wielki wzór, mistrz i przewodnik i tutaj stanie nam się przykładem, a zarazem pośrednikiem przed Bogiem i przyczyńcą, który wyprosi wielką, wspaniałą łaskę wytrwania. Niech nam się stanie przykładem tej zadziwiającej wielkoduszności w służbie Chrystusowej, która jak gwiazda pierwszej wielkości jaśnieje na firmamencie dziejów naszego Kościoła i niech nas ułomnych braci swoich, tak często niestety małodusznych, ciasnych, przyziemnych choć odrobinę rozpali, rozgrzeje, i pociągnie ku temu Chrystusowi, o którym mówił i wołał: *Mnie żyć* — moim życiem — *jest Chrystus!* (Fil. 1, 21).

I.

W nawróceniu Szawła wśród wielu, wielu szczegółów i rysów, jeden nas powinien osobliwie wzruszyć i porwać. Oto wielki Nawrócony zrywając z przeszłością, pali za sobą bez zastrzeżeń wszystkie mosty, przecina sobie raz na zawsze jakąkolwiek drogę, jakąkolwiek możliwość odwrotu.

Pójdźcie ze mną na chwilę do wielkiej synagogi żydowskiej w Damaszku, która najniewątpliwiej dobrze była powiadomiona o zamierzonym przyjeździe gorliwego, płomiennego

wysłannika Wysokiej Rady z Jerozolimy, Szawła, faryzeusza, fanatycznego wroga i prześladowcy znienawidzonych chrześcijan.

Doprawdy trudno sobie wyobrazić ten moment pierwszorzędnej wagi dziejowej, gdy zmieniony do gruntu Szaweł pojawił się w owym domu modlitwy. Pomyślcie — wszyscy wyznawcy Mojżesza z całego miasta stłoczeni w nim do ostatniego miejsca. Wszyscy oczekujący w napięciu najwyższej ciekawości arcykapłańskiego wysłannika... Skracają sobie czas bieżącymi wiadomościami, wśród których nie brak też plotek o jakiejś dziwnej przygodzie, co miała go spotkać po drodze... Podobno jakieś porażenie, może od nadmiernego upału... Podobno choroba oczu, wysoka gorączka... Ale co najdziwniejsze, niepodobne do wiary... Mówią ludzie, że kwaterę wybrał sobie u podejrzanego człowieka, bliskiego przeklętej sekcie chrześcijańskiej... Lecz to już pewno nieprawda, bo gdzieżby to było możliwym... Wtem szept się rozlega, zrazu cichy, potem coraz mocniejszy, nerwowy. — Idzie już, idzie!... Ludzie stają na palcach, wspinają się na ławy, podnoszą głowy, wyciągają szyje... A Szaweł — niech nam to powiedzą własne słowa księgi Dziejów Apostolskich — *natychmiast w bóżnicach opowiadał Jezusa, iż ten jest Synem Bożym* (9, 20).

Nie! Nie! To niemożliwe! To oni źle słyszą... To może dzieło szatana, chwilowe opętanie jakieś niepojęte... Co on mówi? Co powiada? Zatulcie uszy! Nie słyszcie! On bluźni przeciw Bogu i Zakonowi... Odstępca! Zdrajca! Przeklęty!

I zdumiewali się wszyscy, którzy słuchali i mówili: Izali nie ten jest, który burzył w Jeruzalem tych, którzy wzywali tego imienia i tu na to przyszedł, aby ich powiązawszy, wiódł do przedniejszych kapłanów? (Dz. 9, 21).

Chyba nigdy w historii nie dokonał się większy przewrót w człowieku, jako ten, którego oni byli tu w tej godzinie świadkami! A Szaweł?

Zbyt rozumny, bystry i inteligentny, by nie pojmował, że sytuacja jaka się wokół niego wytwarza, zaczyna być okropna. Ci, którym dotąd służył, przeklinają go, pienią się i szaleją z wściekłości za to, co zrobił. Ci, do których iść pra-

gnie sercem całym, patrzą nań podejrzliwie, niedowierzają, lękają się niewykluczonej przecież prowokacji i zdrady.

Kto inny zawahałby się. Nie Paweł! Raz zdecydowany, bezkompromisowy — nie cofnie się! Kości rzucone! On już pójdzie swym nowym szlakiem pomimo wszystko. Pójdzie i nie zboczy na krok... Godzina przełomu u damasceńskiej bramy, zwierzone przez Chrystusa posłannictwo pozostaną mu na całe życie ideą niezwyciężoną, niezgłuszonym hasłem i mocą niezachwianą nigdy!

Oto, mój Drogi, patrz, co znaczy zerwać z przeszłością! Czy gotów jesteś do takiego zerwania? Nie zostawiaj za sobą furtki powrotu do dawnych grzechów, dawnych nawyków i nałogów. Choćby najboleśniejszym ci było i najwięcej kosztowało, zerwij ze sposobnością do złego, odsuń się od tego towarzystwa, od tej lektury, od tej rozrywki, która — jak dobrze wiesz — uwodzi cię na manowce! Spal mosty! Choćby wszyscy stanęli przeciw tobie, choćby cię smagał śmiech szyderstwa i wyzwisk, których szatan przez ludzkie usta nie szczędzi tym, co odważają się z nim zerwać. Nic to! Inna przed tobą droga, inne rozwarły się szlaki i ty nimi pójdziesz od dziś — mimo wszystko!

II.

Ale oto inny, jakże głęboki szczegół z życia Sazwła!

Dramatyczny jego występ z głoszeniem Chrystusa w Damaszku miał trwać bardzo krótko. Bóg roztwierał przed nim zdumiewającą przyszłość i żywot jednego z największych bohaterów swoich. I choć Szaweł nie mógł oczywiście ani w części przewidzieć, w jaki to sposób i w jakiej mierze stanie się owym *naczyniem wybranym, aby nosił imię* (boże) *przed narodami i królmi* (Dz. 9, 15), to przecież bez wątpienia odczuwał, że po takim niesłychanym przełomie, jak ten, którego doświadczył, będzie powołany do rzeczy wielkich i niezwykłych i dlatego już po kilku dniach opuszcza huczącą życiem i gwarem stolicę Syrii i potajemnie, omijając nawet Jerozolimę, zdąża na pustynię arabską, gdzie w całkowitej samotności poczyna rozważać swą przeszłość, gotować się do przyszłości, modląc

się gorąco i zagłębiając w święte księgi Pisma bożego... Trzy lata trwały te wielkie rekolekcje Pawłowe. To gotowanie się do nowego życia. Ale wyszedł zeń już do głębi duszy apostołem, wiernym sługą, posłannikiem Jezusa do całego pogańskiego świata...

Cóż to za przedziwna nauka dla nas!

Św. Paweł jedno rozumie wybornie. — Wielka przemiana człowieka może się począć w jednej chwili. Wstrząsnąć, zdumieć, olśnić, lecz nigdy na tym nie może się skończyć... Duszę swoją trzeba od podstaw przemienić... Serce przepalić w płomieniu tych nowych a tak trudnych, tak ciężkich ideałów. Przecież on żydem był, najprawowierniejszym, fanatycznym... Ba, więcej! Był faryzeuszem z dziada pradziada, do samych głębin duszy przekonanym o jedynym wybraństwie własnego narodu, o nikczemności wszystkich, choćby najwyżej stojących ludów pogańskich. I oto on, Izraelita z urodzenia, z tradycji rodzinnej, z krwi i kości ma się stać apostołem pogan i pogan przyjacielem, ojcem? On ma się zanurzyć w świat pogański, którego się dotąd lękał, przed którym drżał z nienawiści, wstrętu... I znowu możemy powiedzieć, że nigdy żaden człowiek nie stanął w życiu przed cięższym zadaniem, nigdy żaden nie miał pochylić i poddać bark swoich pod trudniejsze posłannictwo...

Dlatego Szaweł idzie na pustynię i tam dopełnia własną, wytężoną pracą cudowne działanie łaski z momentu nawrócenia.

Wiem, że już rozumiesz i ty, o co rzecz idzie.

Rekolekcje wielkopostne — to wstrząs zbawienny, to i dla ciebie cud łaski, cud przełomu! Ale to krótka chwila, krótkie trzy dni w twoim, Drogi mój, Damaszku! Musisz je przedłużyć, musisz je i ty pogłębić, przetrawić... Dlatego i ty musisz jeszcze często, jak najczęściej szukać chwil zastanowienia, skupienia, refleksji nad tym, coś przeżył, czegoś doświadczył w rekolekcjach. To nieodzowny warunek przetrwania i wytrwania. Ty wiesz dobrze, doskonale, że częściej grzeszysz z braku zastanowienia, z lekkomyślności, żywości i nieostrożności młodzieńczej, jak ze złości jakiejś moralnej, wewnętrznej. O, ileż-

byś zła uniknął w życiu młodym, w przyszłości, gdybyś umiał zdobyć się na takie chwile głębszej myśli, głębszej modlitwy, dobrej lektury — choćby tylko od czasu do czasu. Dlatego proszę, znajdź takie chwile w przyszłości. Wywalcz je sobie choćby gwałtem w rozgwarze lat młodych. A Bóg ci je daje, nasuwa... Choć ten krótki moment rannej, wieczornej modlitwy... Choć tę niedzielną egzortę i mszę świętą, choć ten codzienny, króciuchny rachunek sumienia...

O, gdybyś zechciał, gdybyś zrozumiał i rozpoczął! Będziesz za nie kiedyś błogosławił Boga — i siebie. Twój przełom dzisiejszy przetrwa próbę życia.

III.

I jeszcze jeden rys Pawłowego przełomu! Zadziwiająca gotowość najcięższych nawet ofiar i później istotne, rzeczywiste złożenie ich Bogu ze siebie.

Nieraz myślę, jaka to wielka szkoda, że młodzież nasza nie ma właściwie do dziś napisanego dla niej życiorysu św. Pawła. Ta młodzież, która uwielbia bohaterstwo, pali się do przygód, kocha się w podróżach, lubuje w niebezpieczeństwach... Cóż za porywające skarby tego wszystkiego odkryłaby w żywocie wielkiego apostoła! I jak bardzo, bardzo musiałaby go pokochać, a pokochawszy zapalić się żądzą jego naśladowania!

Słyszeliście dziś jego własne słowa o tych ofiarach z siebie, o tych doprawdy niekończących się męczeństwach! W nich jest cały Paweł, który nie znał granic poświęcenia dla Chrystusa. Raz go ujrzał u bramy Damaszku i na zawsze go umiłował całą istotą swoją. Dla Chrystusa nie było mu nic niepodobnym, ciężkim, ni trudnym. Chrystus był jego życiem, jego duszą, jego wszystkim.

A gdy go już raz sam tak ukochał, jak wszystkie naprawdę i do głębi idealne dusze, zapragnął poznanie i umiłowanie tego Chrystusa roznieść po całym świecie. Wsłuchany duszą całą w najistotniejsze słowa Boskiego Zbawiciela wyrzeczone w przeddzień męki jako program, jako cel, jako istota ewangelii: *A ten jest żywot wieczny, aby poznali ciebie samego*

Boga prawdziwego i którego posłałeś Jezusa Chrystusa (Jan 17, 3), uczynił je, rzec można, swoją ewangelią i oddał się jej głoszeniu, jej służbie na całopalenie. Ona wypełniła jego życie od Damaszku aż po męczeństwo w Rzymie, *ażby był Chrystus w wszystkich ukształtowany* (Gal. 4, 19), *aby w Chrystusie wszystko było naprawione* (Ef. 1, 10), *aby na imię Jezusowe wszelkie kolano klękało, niebieskich, ziemskich i podziemnych...* (Filipp. 2, 10).

I ty, Ukochany mój, musisz całą twą istotą uwierzyć w to, iż nie ma wewnętrznej przemiany, nie ma przełomu, nie ma postępu bez gotowości ofiary, zaparcia, poświęcenia, bez całkowitego oddania się Chrystusowi.

Cóż jesteś gotów uczynić dla nowego życia? Do jakiego stopnia posunąć twoją ofiarność dla Jezusa?

Przebiegnij w myśli nieodzowną konieczność codziennej rannej i wieczornej modlitwy, pobożnej mszy św. w każdą niedzielę, częstszych niż dotąd sakramentów... Policz twe obowiązki jako syna i brata, ucznia i kolegi... Rozważ możliwe pokusy, trudności, wpływy, przeszkody, zgorszenia, szyderstwa, jakie ci staną w drodze i mimo wszystko, mimo wszystko z całą gotowością, z całym męstwem powtarzaj słowa psalmisty: *Gotowe serce moje Boże, gotowe serce moje!* (Ps. 56, 8).

O, wtedy nie zawrócisz tak łatwo z drogi, którą dziś Bogu i sobie ślubujesz, tedy pewniejszym będziesz wytrwania mimo wszystko.

* * *

I wreszcie o jednym nie zapominaj!

Oto Chrystus będzie z tobą!

Św. Paweł oczywiście nie był obecny przy ustanowieniu Najśw. Sakramentu. Daleko, bardzo daleko jeszcze był wówczas od Chrystusa. A jednak doświadczył jakiejś szczególnej łaski objawienia tej tajemnicy, o której raz jedyny wspomina w swym liście do Koryntian, opisując cud ostatniej wieczerzy, jak gdyby nań patrzył własnymi oczyma. *Albowiem ja wziąłem od Pana, com też i wam podał, iż Pan Jezus nocy, której był wydany, wziął chleb a dzięki uczyniwszy, łamał i rzekł: Bierzcie a jedzcie, to jest ciało moje* (1 Kor. 11, 23, 24).

Kiedy zaszło to szczególne objawienie? Nie wiemy. Może za pobytu na arabskiej pustyni... Może czasu przygotowania się do apostolstwa w Tarsie... Ale jakie to cudne, jakie wzruszające, iż najwierniejszemu słudze swemu i wybranemu apostołowi Jezus zwierza w szczególny sposób cud i tajemnicę eucharystii, bo wie, jak bardzo będzie potrzebował nieugiętej wiary w tę prawdę, ile ona mu w najcięższym życiu i najcięższej służbie nieść będzie mocy, słodyczy i pociechy...

Pójdziecie i wy dziś wszyscy w nowe życie! Skończą się dni Damaszku, dni przełomu, zacznie się służba, praca, ofiara i walka. Zacznie się czas sprawdzania szczerości i siły i trwałości tego, co w tych świętych rekolekcjach poczęło się w waszych duszach.

I oto przychodzi dobry Pan, ukryty w nikłej Hostii, aby dokończyć dzieła, przychodzi, aby odebrać wasze ślubowanie, przychodzi, aby iść z wami przez młodość, przez życie... Prawdziwy *Emanuel, co się wykłada Bóg z nami* (Mat. 1, 23).

O, Drogi mój, jakaż to wielka zaiste myśl, iż w tej drodze, w tym znoju nie będziesz sam! Gdybyś jeno pomyślał, gdybyś zechciał pamiętać, i... szukać.

Znajdziesz twego Emanuela w cichej chwili adoracji sam na sam przed jego przybytkiem, zawsze i zawsze, ilekroć twa droga powiedzie cię koło jego kościoła.

Znajdziesz go w ofierze przeświętej, mistrza ofiary, zaparcia, wyrzeczenia, bez czego krokiem nie ruszysz ku ideałom twoim...

Znajdziesz go w boskim pokarmie duszy, który wynalazł cudownie w głębokościach Serca swojego, aby sobą samym nasycić głód i słabość twoją i uczynić cię mężnym, wytrwałym, zwycięskim...

Oto przychodzi!

Padnij przed nim na kolana, uniż się w prochu i pyle przed jego majestatem, a z głębokości duszy twej z drżeniem radości i gotowości serdecznej powtarzaj dziś, powtarzaj zawsze proste, ofiarne słowo Pawłowe: *Panie, Panie co chcesz, abym uczynił* (Dz. 9, 6). Amen.

Tegoż autora:

Egzorty do uczniów szkół średnich
Tom I, 8°, str. III+331, Kraków 1917, wyd. II, Zakopane 1927 (wyczerpany)

Egzorty do uczniów szkół średnich
Tom II, 8°, str. XII+316, Kraków 1919, (wyczerpany)

Egzorty do uczniów szkół średnich
Tom III, 8°, str. XII+318, Kraków 1925, (wyczerpany)

Praktyczny podręcznik duszpasterstwa w szkole średniej
8°, str. XII+219

W głąb i wzwyż
wybór artykułów z 17 roczników (1920—1937) miesięcznika „Pod znakiem Marii", 8°, str. XII+433, Zakopane 1938

Księga Podręczna dla XX. Moderatorów i Konsult Sodalicyj Mariańskiej uczniów szkół średnich w Polsce
4°, str. 120, Zakopane 1939

Przed tak wielkim Sakramentem
adoracyjne rozważania dla młodzieży sodalicyjnej na pierwszy piątek każdego miesiąca, 16°, str. 135

Ustawy Sodalicji Mariańskiej uczniów szkół średnich w Polsce
wyd. XIII—XV (41—50000), 16°, str. 62 (wyczerp.)

Do nabycia w

KSIĘGARNI KRAKOWSKIEJ

KRAKÓW, UL. ŚW. KRZYŻA 13